

## Rozdział X: Polski „realny komunizm” - wyrok Historii?

### Uwagi wstępne

Niniejszy rozdział będzie różnił się od pozostałych. Pisząc bowiem o „realnym komunizmie” w Polsce, nie tak jak we wszystkich innych przypadkach, gdzie szereg podstawowych informacji oraz opatrzenie ich krótkim komentarzem było niezbędne, w obecnym są one na ogół pominięte. Tylko niektóre fakty i wydarzenia są nie do uniknięcia, natomiast główna uwaga skoncentrowana jest na refleksjach, związanych z narodzinami, trwaniem i końcem polskiego „realnego komunizmu”, jeśli istotnie jest on już tylko historią.

Polacy zwłaszcza, którym los nie oszczędza przykrych nauczek, mają szczególne powody do takich refleksji.

Tytuł rozdziału sugeruje przecież niedwuznacznie, że polski „realny komunizm” był wyrokiem Historii, losem **nie do uniknięcia** i w konsekwencji tego niewiele, albo nic, nie było do zrobienia.

Co miało się stać - stało się.

To prawda, ale intencją rozdziału jest coś więcej. Zawarte bowiem w nim refleksje, mam nadzieję, pokazują głębszy sens wydarzeń, „ślepego losu”, w których nasz **własny** udział był przemożny, jeśli wręcz nie decydujący. Rzecz tylko w tym, czy Polacy zawsze zdawali sobie z tego sprawę co robią, lub co powinni byli robić, a wreszcie czy ów „ślepy los” był tylko niezmiennie tragiczny?

### Narodziny „realnego komunizmu” a „sprawa polska”

Rewolucja bolszewicka w Rosji obwieściła światu narodziny „realnego komunizmu”, na razie tylko w jednym kraju, ale z perspektywą podobnych rewolucji w innych krajach, zwłaszcza z nią sąsiadujących, rewolucji „własnoźnych”, „bagnetowych” i tych „mieszanych”.

W przypadku Polski, czy tylko jej większej części, uważanej przez Rosję za jej integralną część, możliwość rewolucji bolszewickiego typu, identycznej jak w metropolii, czy bardzo do niej zbliżonej, była szczególnie prawdopodobna.

Tak na przykład, gdyby Niemcy nie wyparli Rosjan z Kongresówki w drugiej połowie 1915 r., a bolszewizm doszedłby do władzy w ich

kraju, to najprawdopodobniej „królewiaczy” dostaliby się natychmiast pod jego panowanie. Możliwe też, że w przypadku zajęcia przez Rosjan zaboru austriackiego i niemieckiego w trakcie wojny, sytuacja byłaby identyczna.

Oczywiście, gdyby Rosja wygrywała wojnę, to prawdopodobnie żadna bolszewicka rewolucja nie miałaby w niej szans wybuchu i zwycięstwa, ale kto to wie? Dla Niemców wojna toczyła się bardzo pomyślnie na wschodzie, a na zachodzie, aż do jesieni 1918 r., też nieźle, a jednak zostały ogarnięte rewolucyjnym wrzeniem. Nie takim jak w Rosji, ale niemniej jednak. Bezsens I wojny światowej w miarę jej trwania przeradzał się w rosnącą niechęć do ustrojów i rządów, które do niej doprowadziły. W Rosji, w każdej sytuacji, było znacznie więcej powodów do rewolucji bolszewickiego typu niż w jakimkolwiek innym kraju ówczesnego świata.

Polacy, z oczywistych powodów, na I wojnę światową patrzą pod innym kątem, a ponieważ jej produktem była między innymi bolszewicka rewolucja w Rosji, więc i na nią muszą patrzeć inaczej od wszystkich innych.

„Sprawa polska” na progu I wojny światowej wyglądała beznadziejnie, praktycznie schodząc z porządku dziennego nie rozstrzygniętych spraw międzynarodowych. Polacy modlili się o „wojnę narodów”, widząc w niej słuszną możliwość odzyskania niepodległości, ale, niestety nikt inny w ich modłach nie uczestniczył, każdy bowiem modlił się o własne sprawy, a nie o polską niepodległość.

Wojna więc była **więc** polskim zbawieniem, nadzieją na niepodległość, do której drogi i ścieżki były jednak kręte i niepewne.

Pierwsze jaskółki nadziei, pomijając wymarsz do Kongresówki „pierwszej kadrowej” 6 sierpnia 1914 r., wydarzenie lokalne, powszechnie nawet Polakom nieznane, przyleciały z zewnątrz. Jedną z nich była odezwa do Polaków z 14 sierpnia 1914 r. głównodowodzącego wojsk rosyjskich, wielkiego księcia Mikołaja Romanowa, a następnie dość enigmatyczna wzmianka Siergieja Sazonowa, rosyjskiego ministra spraw zagranicznych, o „wspólnej powojennej granicy” rosyjsko-polskiej z Niemcami na linii Odry. Rosja zgodziła się ponadto na utworzenie polskiego Legionu Puławskiego oraz na powstanie prorosyjskiego Komitetu Narodowego Polski z Romanem Dmowskim na czele, który uformował się w Warszawie 25 listopada 1914 r. Rosyjskie kroki były co prawda o bardziej symbolicznym niż praktycznym znaczeniu, ale na przysłowiowym bezrybiu i to było dobre. „Sprawa polska” pomału zaczęła się więc umiędzynaradawiać, rzecz nie do pomyślenia przed wojną.

Drugą jaskółką, która pojawiła się w tym czasie na horyzoncie,

świadcząc o takim właśnie umiędzynaradawianiu się „sprawy polskiej”, było istnienie, za zgodą Wiednia, od sierpnia 1914 r., w zaborze austriackim w Krakowie, Naczelnego Komitetu Narodowego, polskiej instytucji, mającej zwierzchnictwo nad tworzącymi się Legionami Polskimi.

Minusem obiecującego rozwoju sytuacji był jednak fakt, że „sprawa polska”, umiędzynaradawiając się, jawiła się po obu stronach barykady, po stronie Ententy i Państw Centralnych, zwartych w śmiertelnym konflikcie.

I na tym „sprawa polska” na razie utknęła. Wytworzył się impas, który trzeba było przełamać, ale nikt, z Polakami włącznie, nie wiedział jak to zrobić, nie mówiąc już o tym, że aż tak bardzo „sprawą polską” nie przejmowano się w świecie.

Tak było do „apelu dwóch cesarzy”, niemieckiego i austro-węgierskiego, z 5 listopada 1916 r., który, pomijając już intencje jego autorów, „sprawę polską” zaktywizował. Ponieważ jednak „apel” był inicjatywą Państw Centralnych, więc jego praktyczne znaczenie było niezbyt na rękę Polakom, chyba że państwa te wojnę wygrałyby. Inna rzecz, że nie wiadomo czy wtedy zaprzętałyby sobie nią głowę.

Bardziej skomplikowana była „sprawa polska” po stronie państw Ententy, wśród których Rosja, obok Francji i Anglii, grała rolę wiodącą. Dwa ostatnie kraje o „sprawie polskiej” mówiły tylko tyle, ile mówiła Rosja. Sytuacja uległa poprawie dopiero po tym jak USA, po stronie Ententy, przystąpiły do wojny 6 kwietnia 1917 r., ale wtedy już carskiej Rosji nie było. Rosja pomarcowa wydawała się być bardziej otwarta na „sprawę polską”, co mogło rozwiązać ręce USA i innym członkom Ententy, w aktywniejszym podejściu do „sprawy polskiej”.

Chronologicznie podchodząc do sprawy, USA nie czekały na żadną „marcową Rosję”, zabierając głos w „sprawie polskiej”. Ale, co jest wysoce prawdopodobne, pomógł im w tym pewien ważny epizod, a mianowicie rozkaz dzienny cara Mikołaja II z 25 grudnia 1916 r., w którym mówił o „zjednoczonej, niepodległej i samoistnej Polsce”.

Czy przypadkowo, czy właśnie pod wpływem tego, dokładnie te same słowa znalazły się następnie w oświadczeniu prezydenta USA Woodrowa Wilsona w z 22 stycznia 1917 r.

Zresztą, USA wówczas jeszcze nie brały udziału w wojnie i ich głos, aczkolwiek ważny, nie był najistotniejszy. Ważniejszy w tym czasie, w grudniu 1916 r. był inny fakt. W parlamencie bowiem Włoch, które przystąpiły do wojny po stronie Ententy, podniesiono sprawę polskiej niepodległości. W efekcie tego, atmosfera wokół Polski na forum Ententy

zaczęła ulegać poprawie.

Niestety, nie na tyle jednak, żeby „sprawa polska” mogła już wypłynąć na szerokie wody, z perspektywą pomyślnego dotarcia do niepodległościowego celu. Rosja bowiem była tutaj ciągle wielką niewiadomą i przeszkodą. Z nią właśnie musiało stać się coś, co dawałoby szansę osiągnięcia pełnej niepodległości Polski.

I stało się. W Piotrogradzie, 3 marca 1917 r., rozpoczęły się niepokoje, szybko przybierając charakter krwawych utarczek, zwanych Rewolucją Marcową, w efekcie których carat został obalony w dwanaście dni później.

Rewolucja marcowa, relatywizując to historyczne wydarzenie, zapisała się chlubnie w „sprawie polskiej”, może niezupełnie w zgodzie z polskimi oczekiwaniami, ale nikt przed nią, mający decydujący głos w „sprawie polskiej”, tak daleko jeszcze nie poszedł. Piotrogradzka Rada Delegatów Robotniczych i Żołnierskich, nie ważne już, że na wniosek zasiadającego w niej polskiego socjalisty, uznała 27 marca 1917 r. prawo Polski do niepodległości (przy sprzeciwie jej polskich bolszewików z SDKPiL). Sprowokowany uchwałą Rady, rosyjski Rząd Tymczasowy z kolei, wydał oświadczenie również uznające niepodległość Polski, ale w nieokreślonych granicach i powiązaną z Rosją, wysoce podejrzanym „wolnym układem wojskowym”.

Niemniej jednak, „sprawa polska” na terenie Rosji ruszyła na całego. Powstała Komisja Likwidacyjna dla rozmontowania rosyjskiego zaboru w Polsce, faktycznie już nie istniejącego, od kiedy Kongresówka znalazła się w rękach niemieckich. Zaczęto tworzyć Korpusy Polskie, a nade wszystko, wśród mocarstw zachodnich Ententy, stanowisko do „sprawy polskiej” zaczęło ulegać radykalnej zmianie na lepsze. Car rosyjski, formalnie polski król, o „sprawie polskiej” już nie decydował, a pomarcowa Rosja miała inne od niej kłopoty na głowie. Roman Dmowski porzucił orientację prorosyjską, działając w tym czasie w Europie Zachodniej (przybył tam przed Rewolucją Marcową na rosyjskim paszporcie dyplomatycznym). W marcu 1917 r. złożył na ręce Ententy memorandum, domagające się niepodległości Polski, w lipcu zaś odtworzył w Lozannie KNP, Komitet Narodowy Polski, przenosząc się następnie do Paryża. Od czerwca tworzyła się we Francji armia polska, nad którą Komitet objął polityczne zwierzchnictwo. KNP został następnie uznany przez Francję we wrześniu 1917 r. jako „przedstawicielstwo polskie”. Anglia i Włochy uczyniły to w miesiąc później, a następnie w grudniu, już po rewolucji bolszewickiej, USA, które ogłosiły również swoje cele wojen-

ne, zawarte w słynnym 14-punktowym orędziu prezydenta Woodrow Wilsona z 8 stycznia 1918 r., z 13-tym punktem poświęconym niepodległości Polski.

Pewności co do dalszych pomyślnych perspektyw „sprawy polskiej”, mimo wszystko, nie było na forum Ententy. Zwycięstwo Rosji w wojnie, po przystąpieniu do niej USA, stało się bowiem już pewne i kto wie jaki byłby jej stosunek do „sprawy polskiej” po jej zakończeniu.

W Rosji więc musiały nastąpić znowu jakieś dramatyczne wypadki, które nie dawałyby jej czasu na zajmowanie się „sprawą polską”.

Tymi wypadkami stała się bolszewicka rewolucja i w tym sensie była ona **zbawienna** dla „sprawy polskiej”.

Rosja bolszewicka, 3 marca 1918 r., podpisując z Niemcami w Brześciu separatystyczny traktat pokojowy, wypadła z wojny i tym samym stała się dla Ententy bezużyteczna, co niespodziewanie podbiło w górę akcje „sprawy polskiej”. Co więcej, konfiskując obcą własność i odmawiając spłaty obcych długów, bolszewicka Rosja, ze swoją wywrotową propagandą w dodatku, wzywającą do rewolucji w świecie, Europie Zachodniej w pierwszym rządzie - stała się z sojusznika faktycznie wrogiem Ententy! Siłą rzeczy więc, polskie akcje poszły ostro w górę. Polska, kraj względnie duży, zaczęła w oczach Ententy nabierać na znaczeniu, zwłaszcza w oczach Francji, jako jej potencjalny sojusznik, przeciw Niemcom, na miejscu Rosji.

W tym sensie więc, wbrew swoim zamiarom, bolszewicy, zdobywając władzę w Rosji, walczyli **dopomogli** „sprawie polskiej”, więcej od wszystkich innych razem wziętych.

Nie należy jednak wpadać w przesadę i nie widzieć drugiej strony medalu. Wrzenie rewolucyjne w Niemczech, w znacznym stopniu pod wpływem echa rewolucji bolszewickiej, mogło przecież pójść w jej ślady. Wówczas, wzięci w „rewolucyjne kleszcze” z obu stron Polacy, a zapewne i od południa, nieuchronnie utonęliby w grzęzawisku rewolucji bolszewickiej w tej części Europy.

Tak na szczęście nie stało się, a tymczasem bolszewicka rewolucja w Rosji przydała się wielce na tym etapie historycznym „sprawy polskiej”, polskiej niepodległości.

Na określonym etapie, ale **nie** po wsze czasy, gdyż jednocześnie niosła ona ze sobą nowe dla niej niebezpieczeństwa.

Bolszewicy bowiem, tylko ze względów taktycznych mieli pozornie pozytywny stosunek do problemu niepodległości narodów wchodzących do dawnego imperium rosyjskiego, z rzekomym prawem do „ode-

rwania się” od niego. W rzeczywistości, budując „republikę światową”, niepodległość jako taką uważali za zaprzeczenie „proletariackiego internacjonalizmu”, za „przeżytek burżuazyjny”, nie będąc z zasady jej zwolennikami. W konkretnym przypadku Polski, takie stanowisko bolszewików, jej sąsiadów, było groźne jeszcze z innego powodu.

Polska bowiem, w swojej większej części przynajmniej, była posiadłością b. imperium carskiego. Bolszewicy rosyjscy, ściśle powiązani z „polskimi bolszewikami”, SDKPiL, przeciwnikami niepodległości Polski, uważali za absolutnie normalną sprawę „dopomożenie” im w zdobyciu władzy. Dopóki na ziemiach polskich były wojska niemieckie i austro-węgierskie, było to ponad ich siły. Wkrótce jednak, perspektywy takiego „dopomożenia” uległy radykalnej poprawie. Wyłaniające się państwo polskie było początkowo słabiotkie, na niewielkim obszarze i nie wolne też od rodzimych bolszewików, gdyż od 5 listopada 1918 r. powstawały, z inicjatywy SDKPiL oraz PPS-Lewicy, Rady Delegatów Robotniczych. Rady, których ilość, głównie w Warszawie i w Zagłębiu Dąbrowskim, przekroczyła 100, reprezentując ponad 0,5-milionową rzeszę, przeważnie robotników i chłopów bezrolnych, były obok obu wspomnianych partii, siłą **wystarczającą** dla przechwycenia władzy. Również bardzo liczna na ziemiach polskich mniejszość żydowska, podobnie jak wszędzie indziej, w przechwyceniu tym odegrała ważną rolę. Przy wsparciu Armii Czerwonej w dodatku, szanse zdobycia władzy przez rodzimych bolszewików były więcej, niż realne. Wojsko Polskie, przejęte po Radzie Regencyjnej, liczyło tylko ok. 7 tysięcy, wychodzące z konspiracji siły POW, Polskiej Organizacji Wojskowej, wynosiły ok. 20 tysięcy, a więc przeszkoda do pokonania dla niosącej „internacjonalistyczną pomoc” Armii Czerwonej była niewielka. Zwłaszcza w sytuacji, kiedy odradzająca się Polska była zaangażowana w walki z Ukraińcami, podczas gdy na jej dopiero zarysowującej się zachodniej granicy sytuacja była bardzo groźna.

Polska wreszcie, jako korytarz pomiędzy bolszewicką Rosją, a wrzącymi rewolucyjnie Niemcami, była dla Lenina szczególnie ważna.

W grę wszedł ponadto jeszcze inny i brzemienisty w skutki element. Bolszewicka Rosja udawała, że nie ma pretensji terytorialnych do odradzającej się Polski, odwrotnie jak to było z powstającymi republikami sowieckimi Ukrainy, Białorusi, a potem Litwy-Białorusi. Ukraińska republika sowiecka, przy wsparciu bolszewickiej Rosji, zaczęła się wyłaniać od opanowania Kijowa, już 9 listopada 1917 r., Potem przechodziła różne koleje losu, aby ostatecznie uformować się, poprzez przyjęcie konstytucji, 19 marca 1919 r. Granicę zachodnią, ukraińska republika sowiec-

ka, podobnie zresztą jak inne ówczesne ukraińskie twory państwowe, poza czasowym zapewne, wyjątkiem Ukraińskiej Centralnej Rady atamana Semena Petlury, wyznaczała na zachód od Bugu i Sanu, z Przemyślem i Chełmem, nie mówiąc już o Lwowie. Powstała również 1 stycznia 1919 r. białoruska republika sowiecka, która w dniach 18-20 lutego tegoż roku weszła w skład tworzonej litewsko-białoruskiej republiki sowieckiej, ustanawiała swoją granicę zachodnią mniej więcej na Bugu-Narwi, z Wilnem i Białymstokiem po jej stronie.

Odradzająca się Polska dla odmiany, z naczelnikiem państwa Józefem Piłsudskim w pierwszym rządzie (nie wszystkie siły polityczne podzielały ten punkt widzenia), widziała swoją wschodnią granicę według stanu z 1772 r.

Terytorialna „kość niezgody”, aktualna w przypadku **każdej** Rosji i Polski, stała się zatem niezwykle kontrowersyjnym i wybuchowym problemem w stosunkach pomiędzy nowymi sąsiadami. Sprawę komplikowało dodatkowo zachowanie się Niemców na tych spornych terenach. Zgodnie z warunkami rozejmowymi, na tych terenach i w krajach bałtyckich, pozostać miała 0,5-milionowa armia niemiecka, Ober Ost, która mogła je opuszczać jedynie na wyraźny rozkaz Ententy. Niemcy jednak wycofywali się z tych terenów według własnego widzimisię, najczęściej wpuszczając na swoje miejsce Armię Czerwoną. W tej sytuacji zaczęło dochodzić do pierwszych sporadycznych potyczek polsko-sowieckich już w styczniu 1919 r. (oddziały Armii Czerwonej były wtedy złożone często z „czerwonych Polaków”), a 17 lutego 1919 r. na wschód od Grodna, po „zwinięciu” niemieckiej przesyłki, podobnie jak na Wołyniu w tym samym mniej więcej czasie, doszło już do bitew na większą skalę. Dziś już wiadomo, choć i wtedy nie było co do tego wątpliwości, że Armia Czerwona **nie tylko** chciała zbolszewizować Polskę, „popróbować polską burżuazję bagnetem” - jak mówił Lenin - ale także dostać się poprzez jej terytorium do Niemiec dla wsparcia łamiącej się tam, lecz ciągle wyczerkiwanej rewolucji.

Młoda Polska stanęła więc w obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa. Groziła jej bowiem „republikanizacja”, jakiś twór pod moskiewską kontrolą, wgnieciony pomiędzy Bug a Wartę, z częścią Galicji, bez Pomorza i dostępu do morza oraz najprawdopodobniej bez Górnego i Cieszyńskiego Śląska. Rzecz jasna, czekałyby ją jeszcze inne okropności rewolucji bolszewickiej, czy to „własnonożnej”, „bagnetowej” czy „mieszanej”. W tej sytuacji, bardzo słusznie zresztą, Piłsudski starał się odsunąć bolszewików jak najdalej na wschód i nie tylko ze względu na odciążenie

od Polski „bolszewickiej zarazy”, jak to wtedy mówiono. Dla osamotnionej i niewielkiej Polski, pomiędzy Rosją a Niemcami, nie widział bowiem większych szans na jej przetrwanie. Nie mając poza tym większych nadziei na powiększenie Polski na zachodzie, szukał możliwości powiększenia jej na wschodzie, bezpośrednio, poprzez wcielanie do niej niektórych ziem, jak też pośrednio, poprzez „Międzymorze”, powiązany z nią federacyjny czy konfederacyjny wianuszek państw. Zamiały swoje realizował początkowo pomyślnie, podejmując szereg akcji zaczepnych, co było o tyle możliwe, że bolszewicy, po załamaniu się słabej zresztą rewolucji w Niemczech, jak też angażując się coraz bardziej w wojnę domową, chwilowo odwrócili swoją uwagę od Polski.

Piłsudski z tego skorzystał, zajmując w kwietniu 1919 r. Wilno, wyrzając się następnie na Białoruś, z zajęciem w lipcu Mińska. Zdobył też Dźwińsk, który przekazał Łotyszom. Wreszcie, podszedł pod Kamieniec Podolski, zajął Żytomierz i nawiązał współdziałanie z wojskami rumuńskimi. Pod koniec września front polsko-bolszewicki, bez wypowiedzianej przez strony wojny, zastygł wreszcie na linii Połock-Zbrucz.

Okres ten, decydujący nie tylko dla konfliktu polsko-bolszewickiego, zarówno „klasowego” jak i „narodowo-państwowego” w pierwszym rządzie, od którego ostatecznego wyniku zależały losy Polski, wszedł zatem w następną fazę, wymagającą **nowych** koncepcji jego kontynuowania. Było już oczywiste, że na bezpośrednią, jak i w znacznym stopniu pośrednią pomoc Ententy w tym konflikcie, nie ma co liczyć.

W tym akurat czasie **ważyły się** losy „realnego komunizmu” na większości obszaru b. imperium rosyjskiego.

Polska, mówiąc konkretnie, wtedy właśnie miała pierwszą, gdyż była jeszcze druga, historyczną **szansę** zniszczenia, ciągle jeszcze w powijakach, „realnego komunizmu” w Rosji.

### Szansa Nr 1

W interesie bolszewickiej Rosji, do której należy jeszcze dodać republikę białoruską i ukraińską, leżało niewątpliwie **zniszczenie** „białej Polski”, jak ją wtedy, obok „pańskiej”, w Moskwie nazywano. Na jej miejscu powstałaby najprawdopodobniej jakaś niewielka „polska republika sowiecka”, którą Stalin, bardziej od Ukrainy, zagłodziłby potem i zdisiętkował na różne sposoby. Niepodległa bowiem Polska, była dla bolszewickiej Rosji szczególnie „wredna” i nie dlatego tylko, że odgradzała ją od Niemiec, na których bolszewizację ciągle liczone, ale także dlatego,

że w jej pojęciu wyciągała rękę po kawał „rdzennie ruskich ziem”, a nade wszystko próbowała oderwać od niej Ukrainę.

Istotnie, wspomniane już idee „Międzymorza”, przeciwwagi dla Rosji i Niemiec, były dla obu polskich sąsiadów nie do zaakceptowania, Rosji głównie, nieważne jakiej barwy, gdyż jej kosztem, przede wszystkim, coś takiego mogłoby powstać. Stąd więc jej zamiar zniszczenia „białej Polski”.

Skoro więc bolszewicka Rosja chciała zniszczyć niepodległą Polskę, redukując przy okazji jej stan ludnościowy i terytorialny, to Polska, ze swej strony, miała pełne prawo **odpłacić się** jej tym samym. Zniszczyć Rosji jako państwa nie mogła, ale najprawdopodobniej **mogła zniszczyć** jej rodzący się „realny komunizm”, gdyż niszczyli go również liczni Rosjanie.

Wyjątkową okazją do tego była tocząca się w Rosji wojna domowa, zwłaszcza w trzecim i do połowy czwartego kwartału 1919 r.

Przypomnijmy jak z tym było.

W drugiej połowie 1919 r., kiedy wojna domowa w b. imperium rosyjskim rozwinęła się już na całego, jej ostateczny wynik wisiał na przysłowiowym włosku i wmieszanie się do niej Polski **mogło** przechylić szalę na jedną ze stron.

Na wschodzie, a jeszcze bardziej na południu Rosji i na Ukrainie, terenach dotykających ówczesnych granic Polski, wojna domowa weszła w decydującą fazę. Wsparcie ze strony Polski „białych wojsk”, konkretnie gen. Antona Denikina, które zaczęły posuwać się z południa na Moskwę, było zatem o **krytycznym** znaczeniu.

Czerwono-biały „front południowy” w połowie lipca 1919 r., rozciągał się linią łamaną, pełną różnych wybrzuszeń, od ujścia Wołgi do Morza Kaspijskiego aż do granic Wołynia, na przestrzeni ok. 2,5 tys. km, zanim nie skrócono go do 1,6 tys. km w cztery miesiące później.

Walczące ze sobą armie były sobie mniej więcej równe, aczkolwiek na poszczególnych odcinkach frontu i w różnych okresach działań, wzajemny układ sił ulegał drastycznym zmianom na korzyść jednej ze stron. Decydujące boje, ze zmienną inicjatywą, rozpoczęły się w połowie czerwca 1919 r. Armia Czerwona, która dopiero w październiku tegoż roku doszła do stanu 2,5 mln., rozproszona na obszarach olbrzymiego kraju, nie mogła rzucić na front przeciwko Denikinowi więcej niż 170 tys. wojsk, czego jednak daleko nie wykonała z różnych powodów.

Nie wchodząc w szczegóły, siły obu przeciwników wynosiły ostatecznie nieco ponad 100 tysięcy po każdej stronie. Uzbrojenie ich było zbliżone, z przewagą kawalerii po „białej” i artylerii oraz karabinów ma-

szynowych po „czerwonej” stronie.

Siły walczących stron były więc nieduże i polska 600-tysięczna już wówczas armia, o znacznej zdolności bojowej, prawdopodobnie **mogła** w tej sytuacji stać się „języczkiem” u wagi w ich zmaganiach. Jak wiadomo, Piłsudski **nie tylko** nie wsparł Denikina, zwłaszcza w decydującym okresie wrzesień-październik 1919 r., ale trzymając w bezruchu polsko-bolszewicki front, jak też ... zawiadamiając Lenina, że ofensywy przeciwko Armii Czerwonej nie podejmie - faktycznie przyczynił się do jego klęski. Wiedząc zatem o braku zagrożenia, bolszewicy przerzucili z „frontu polskiego” niektóre jednostki przeciwko Denikinowi. Nie bojąc się też „polskiego noża w plecy”, złapali konieczny oddech dla rozprawienia się z nim (przyznawali to potem nawet sowieccy historycy).

Czy Piłsudski słusznie postąpił?

Wówczas, w 1919 r., Ententa gorąco namawiała Polskę do wsparcia Denikina. Piłsudski, rzecz oczywista, musiał się z nią liczyć, choćby ze względu na Niemcy, nadal dla Polski bardzo groźne, z których Ententa nie spuszczała oka. Równocześnie jednak, bardzo słusznie zresztą, zapytywał Ententę, poprzez premiera Ignacego Paderewskiego, o jej stanowisko na wypadek zwycięstwa Denikina.

Jaśniejszej odpowiedzi **nigdy** od niej nie otrzymał ...

A „białym generałom” rosyjskim Piłsudski **nie wierzył** i nie bez powodu. Do Denikina, do Taganrogu, wysłał przecież w lipcu 1919 r. swoich emisariuszy, gen. Aleksandra Karnickiego, do niedawna będącego w służbie carskiej oraz ministra Jerzego Iwanowskiego. Obaj, niestety, nie mogli dowiedzieć się **nic** konkretnego od Denikina co do jego stosunku do Polski, już wtedy przecież odrodzonej! „Biali generałowie”, co więcej, opowiadali wówczas na prawo i lewo o „jedynoj i niedielimoj” Rosji, co dla Polski oznaczało **utratę** młodej niepodległości w przypadku ich zwycięstwa.

Piłsudski miał także inne powody do ostrożności. Otóż, współdziałające wtedy z Denikinem ukraińskie oddziały atamana Petlury, po zdobyciu 30 sierpnia 1919 r. Kijowa, po bojach z Armią Czerwoną, natychmiast, na żądanie Denikina, musiały go opuścić!

Widząc to wszystko Piłsudski, ze swoją wizją „Międzymorza”, z Polską i Ukrainą jako filarami, był więc słusznie **zaniepokojony** stanowiskiem Denikina. Ponadto, „białe wojska” nie ustępowały w okrucieństwie czerwonym, a więc śpieszyć im z pomocą i pchać się w „oko cyklonu” wojny domowej w czerwono-białym imperium - nie bardzo miał ochotę, nie widząc w tym polskiego interesu. Człowiek, który spędził pięć lat w

rosyjskim więzieniu, mając parę zębów wybitych przez strażnika, mógł być, rzecz zrozumiała, podejrzliwy w stosunku do Rosjan.

Trzeba jednak z całą mocą podkreślić, że ratując bolszewików, bynajmniej nie z sympatii dla nich, jak mu to niektórzy potem zarzucali, Piłsudski tym samym wydał wyrok skazujący Polskę na jej skomunizowanie wcześniej czy później.

Czy mógł przypuszczać, że tak właśnie będzie?

Mógł i nie mógł zarazem. Bolszewikom nikt nie dawał wówczas szansy utrzymania się u władzy zbyt długo, a już najmniej posądzano ich o to, że uratowane imperium uczynią kiedyś monstrualną potęgą wojskową, przed którą drzeć będzie cały świat.

Piłsudski zresztą, nie był jedynie biernym obserwatorem wojny domowej w Rosji, próbując zorientować się jaki był stosunek walczących stron do sprawy niepodległości i granic Polski. Jak wiadomo, poprzez swojego pełnomocnika, Ignacego Boenera, Piłsudski prowadził z bolszewikami od 6 listopada 1919 r., z wysłannikiem Lenina, polskim komunistą Julianem Marchlewskim, tajny i pozornie nawet sensowny dialog w Mikaszewiczach.

Niestety, z „białymi” był on od początku właściwie niemożliwy i to nie z polskiej winy. Nieważne, że w świetle ostatnio ujawnionych dokumentów prowadzenie rozmów z Leninem nie miało sensu, gdyż tylko pozornie szedł na ustępstwa wobec Piłsudskiego, nie mając nigdy zamiaru ich honorować. Denikin, nawet na pozory nie mógł się jakoś zdobyć! Z pewnością był uczciwszy od Lenina, ale w polityce i dyplomacji są to przecież cechy samobójcze! I słono za to zapłacił! Aż do momentu błagalnego listu z 8 grudnia 1919 r. do Piłsudskiego z prośbą o pomoc, na którą było już wtedy za późno, Denikin lekceważył sobie „sprawę polską”. A więc tylko do siebie powinien mieć za to pretensje (przez całe życie miał, niestety, do Piłsudskiego).

W konsekwencji, „białymi” wojnę domową przegrali, wygrali ją zaś bolszewicy. Piłsudski pobił ich w 1920 r. co prawda, ale nie na tyle, żeby ich zniszczyć! Przeciwnie, swoją wygraną uczynił z nich śmiertelnych wrogów „bielopalaków”, którym poprzysięgli zemstę i słowa dotrzymali...

Spekulacje co by było, gdyby było, są zajęciem jałowym, ale w końcu można przecież zapytać, a co byłoby, gdyby Piłsudski istotnie pomógł zwyciężyć Denikinowi?

Polski, przynajmniej na długo, mogłoby wówczas nie być w sensie w pełni niepodległego i suwerennego państwa. Zwycięska „biała generalicja” nie byłaby już Rosją Rządu Tymczasowego i Rad zdominowa-

nych przez mieńszewików i włączyłaby polskie ziemie w jakiś nowy „priwislianskij kraj”, ewentualnie z b. zaborem austriackim i niemieckim, w tym ostatnim przypadku może pchniętym na zachód, linii Odry nie wykluczając, jak to wspominał Sazonow. Takie pchnięcie było zresztą bardzo wątpliwe, gdyż nie tylko Niemcy, ale także Francja, Anglia, USA i Włochy mogłyby wtedy temu oponować, bojąc się przesuwania „wału rosyjskiego” na zachód. Bez wysiedlenia ludności niemieckiej z tych ziem, albo jej ucieczki przed „słowiańskimi armiami”, włączenie tych ziem do „priwislianskiego kraju” mogłoby stać się dla Polaków większym kłopotem niż korzyścią. Rosja, choć u siebie postępowała inaczej, na „kongresowych” ziemiach popierała przecież każdą mniejszość narodową, zwłaszcza licznych Żydów, przeciwko Polakom. W jakimś nowym Królestwie Kongresowym, może nawet jeszcze mniej autonomicznym, gdyż wątpliwe byłoby istnienie w nim armii polskiej, Rosja miałaby teraz bardzo licznych Niemców. „Rozcieńczenie” w nim Polaków i skłócanie ich z innymi mniejszościami narodowymi - byłoby więc jeszcze łatwiejsze niż dawniej.

W każdym razie, wszystko co nie gwarantowało pełnej niepodległości i suwerenności Polski było **nie do przyjęcia** dla Piłsudskiego. Groziło bowiem przekreśleniem wizji niepodległego państwa i uwiędnięciem narodu polskiego.

Stąd też **dobrze** się stało, że za jakieś obietnice „gruszek na wierzbie”, Piłsudski nie wdał się w rosyjską wojnę domową po stronie Denikina (po stronie bolszewików nigdy o tym nie myślał). Nie polski był to interes.

Należy jednak jeszcze raz powtórzyć, gdyż wszystko ma dwie strony, że nie wspierając „białych” i przyczyniając się tym pośrednio do utrzymania bolszewików u władzy, Piłsudski w efekcie „zafundował” Polsce, już w ciągu najbliższego pokolenia, „realny komunizm”, w satelickim wydaniu na dobitkę, na całe dziesięciolecia i kto wie czy na tym już koniec...

Ofiarami tej decyzji Piłsudskiego padł potem **każdy** Polak, z autorem włącznie, każdy nieco inaczej, ale w ogólnym rachunku wszyscy jednakowo.

Która z tych dwóch „historycznych alternatyw”, pomoc lub nie pomoc Denikinowi, była więc lepsza?

Polskę „realnego komunizmu” już znamy, zakładając jego defini-tywne przejście do historii.

„Denikinowskiej” Polski natomiast nie znamy, a spekulacje jaką byłaby wtedy - do niczego mądrego **nigdy** już nie doprowadzą.

A gdyby Denikin przegrał, rzecz prawdopodobna, to główną cenę

za to zapłaciliby Polacy i nikt pomocnej ręki nie podały im z całą pewnością!

Reasumując, skoro więc stało się jak się stało, to **dlatego** Polacy mają pretensję do Historii za obdarzenie ich „realnym komunizmem”, albo, co gorsza, do samych siebie, czyli rodzimych komunistów, którzy wykonywali jej wyrok?

Na to pytanie, niestety, Polacy **nie znaleźli** jeszcze odpowiedzi, ani też, co gorsza, nie stawiają sobie takiego pytania. Polacy, rzecz godna przypomnienia, mieli jeszcze drugą, znacznie poważniejszą historyczną szansę zniszczenia „realnego komunizmu” i też z niej nie skorzystali.

## Szansa Nr 2

Druga szansa, to temat-tabu, który kiedyś trzeba wreszcie **przełamać** i odpowiedzieć sobie na niektóre pytania związane ze współczesną historią Polski, albo ściślej - z losem Polski.

Słowa te piszę dokładnie 1 września 1998 r., w 59 rocznicę napaści hitlerowskich Niemiec na Polskę, dniu tragedii narodowej, głęboko zapadłej w mojej pamięci.

Każda tragedia narodowa, zwłaszcza w takiej skali jak polska w okresie II wojny światowej, powinna wręcz **zmuszać** do stawiania sobie najbardziej kłopotliwych pytań i szukania na nie odpowiedzi, bez względu na ile bolesnych i kontrowersyjnych. Bez przełamania tych wewnętrznych i jakby wstydlivych oporów, Polacy **nigdy** nie rozliczą się ze swoją przeszłością i nie będą racjonalnie myśleć o przyszłości.

Szansa Nr 2, jak nie trudno zgadnąć, to **przystąpienie** Polski do Paktu Antykominternowskiego, a w efekcie tego wzięcie udziału w koalicyjnej wojnie, pod przewodnictwem Niemiec, przeciwko ZSRR, wówczas, nie licząc Mongolii, jedynej siedziby „realnego komunizmu” w świecie.

Szczegółowe rozpatrywanie tej sprawy nie jest moim zamiarem, choćby z tego prostego powodu, że bardziej drobiazgowo jej ujęcie, w kontekście o wiele bardziej złożonym i bogatym w fakty niż w przypadku Szansy Nr 1, nie tylko zabrałoby wiele miejsca, ale w dodatku utrudniłoby takie roztrząsanie ze względu na wysoce emocjonalny stosunek Polaków i nie-Polaków do niej.

Niemniej jednak, niektóre fakty związane z tą sprawą są godne przypomnienia.

Otóż, nie wchodząc we wszystkie i wielce złożone motywy takiego postępowania, faktem jest, że niemieckie „odzywki” na temat zbliże-

nia z Polską, w konkretnym kontekście sojuszu antysowieckiego, a nie tylko stosunków dwustronnych, pojawiły się dość szybko po dojściu Hitlera do władzy. Już w styczniu 1935 r. bowiem, rozmawiając z polskim ambasadorem Józefem Lipskim, Hitler poruszył ten temat, a w sposób bardziej skonkretyzowany próbował go też podnieść przybyły na polowanie do Białowieży 29 stycznia tegoż roku Hermann Goering, druga po nim osoba w Niemczech.

Polska, podnoszonego przez Niemcy tematu, nawet „grzecznościowo” nie podejmowała, pokrywając „odzywki” na ogół milczeniem, lub odpowiadając na nie ogólnikami. Odrzuciła ponadto w 1936 r. sugestie Berlina przystąpienia do Paktu Antykominternowskiego, zawartego pomiędzy Niemcami i Japonią 25 listopada 1936 r., a następnie rozszerzonego na wiele innych krajów (Włochy, Hiszpanię, Węgry, Bułgarię, Danię, Rumunię, Chorwację, Finlandię, Słowację i japońskie cesarstwo chińskie Mandzukuo).

Joachim Ribbentrop, niemiecki minister spraw zagranicznych, w rozmowie z amb. Lipskim w dniu 24 października 1938 r., ponowił jednak propozycję przystąpienia Polski do Paktu, pomijając już inne propozycje dotyczące stosunków dwustronnych.

Prawda, moment powtórnej oferty był niefortunny. Napięcie w stosunkach polsko-niemieckich wzrastało już od jakiegoś czasu, od 1936 r. w Polsce zaczęto serio brać pod uwagę możliwość konfliktu z Niemcami, a tuż przedtem „sprawa sudecka”, po tym jak Niemcy włączyły w swój skład Austrię, tylko wzmocniły ten pogład.

Formalnie jednak, oferta niemiecka była na stole. Powtórzył ją osobiście Hitler 4 stycznia 1939 r. w rozmowie z polskim ministrem spraw zagranicznych Józefem Beckiem w Obersalzbergu i jeszcze raz Ribbentrop w Warszawie, w trzy tygodnie później.

Polska, ku irytacji Niemiec, nadal **nie podejmowała** tego tematu.

Jakie racje, po polskiej stronie, przemawiały za lub przeciw jego podjęciu?

Jak wiadomo, Polska miała **dwóch** potężnych i nieprzyjaznych sobie sąsiadów. Z **żadnym** w pojedynkę, ani tym bardziej z dwoma naraz, wojny wygrać nie mogła. Na żadne też skuteczne, a nie tylko formalne, sojusze z nikim w Europie **liczyć nie mogła** i jeszcze mniej poza Europą. Polityka „równego traktowania” obu sąsiadów, z którymi Polska miała formalne porozumienia o nieagresji, z ZSRR z 1932 r. i z Niemcami z 1934 r., była ponadto poprawna i nie było większych powodów jej zmieniać, albo tak przynajmniej mogło się wtedy wydawać.

Nie to jest jednak najważniejsze, ale pytanie czy zgoda Polski na propozycje niemieckie **zagrozała** istnieniu „realnego komunizmu”, a konkretnie ZSRR? Chodzi w tym wypadku **jedynie** o wojskowe możliwości pokonania ZSRR i przy tej okazji również komunizmu.

Hitler, rozważając wojnę z ZSRR, nie mógł nie myśleć o Polsce jako o bardzo ważnym w niej czynniku. Przez jej terytorium musiał przecieć maszerować na pole bitwy i lepiej było iść z nią razem niż przeciwko niej.

Polska więc była dla niego potencjalnie cennym, a nawet **niezbędnym** sojusznikiem. W takim przypadku bowiem, niezależnie od 100 polskich dywizji u swojego boku, na które liczył, ze względów politycznych taki sojusznik był mu szczególnie potrzebny. Gdyby bowiem Polska poszła z nim przeciw ZSRR, to Francja z Anglią **nie ruszyłyby** do wojny z Niemcami. Nawet gdyby miały traktatowe zobowiązania wobec ZSRR. Przeciwnie, zapewne cieszyłyby się jeszcze z jego marszu na wschód, a nie na zachód ... Ba, kto wie czy jeszcze nie pomogłyby mu w tym marszu, materialnie przynajmniej, a może nawet ochotnikami. Hitlerizm był przecież „brunatną rewolucją”, dość popularną w Europie Zachodniej. Jakaś więc „antykommunistyczna krucjata” Hitlera mogła tam znaleźć szerokie poparcie.

USA również **nie weszłyby** do wojny przeciwko Niemcom z powodu zaatakowania przez nie ZSRR, zwłaszcza gdy walczyłyby w osamotnieniu. Był on co prawda popularny w amerykańskich środowiskach lewicowo-żydowskich, ale znacznie popularniejsze były od niego Niemcy i Włochy ze swoim narodowym socjalizmem i faszyzmem, gdzie nie było bezrobocia, podczas gdy powszechne ubezpieczenia i inne zdobycze socjalne, nieznanne wówczas w USA, były tam rozwinięte. Nawet amerykańska Polonia też zapewne dołączyłaby się do antysowieckiego chóru.

Wspólnie więc z Japonią i Włochami, mając pod swoim dowództwem dywizje polskie, rumuńskie, węgierskie, fińskie, krajów bałtyckich, słowackie, chorwackie, bułgarskie i prawdopodobnie tureckie - Niemcy **miały** szansę pokonania ZSRR. A gdyby jeszcze Niemcy, może właśnie pod wpływem Polski, po ludzku traktowały jeńców sowieckich i ludność cywilną na zdobywanych terenach, to tym bardziej zmniejszyłyby się sowieckie szanse na wytrzymanie uderzenia.

Polska, oczywiście, w **każdym** wariantcie, mogła źle wyjść na zwycięstwie Hitlera, ale to już zupełnie co innego! Chodzi przecież tylko o to, żeby obiektywnie ocenić szanse przebiegu pojedynku Niemcy-ZSRR w przypadku pójścia przez Polskę na propozycje Hitlera i **nie** więcej. Nie

ma nawet sensu, jak to starałem się czynić w przypadku „denikinowskiej alternatywy”, spekulować „co by było, gdyby było” w razie „antykomin-ternowskiej alternatywy”, sił koalicyjnych pod niemieckim przewodem, w Europie przynajmniej. Niemcy hitlerowskie, ze swoim rasizmem, ideą „tysiącletniej Rzeszy”, a wreszcie potęgą, przy której Denikin był niczym, to problem oddzielny i sam w sobie.

Ale tak naprawdę, co Polacy wiedzieli o Niemczech? Rasizm hitlerowski, przed wybuchem wojny, był jeszcze daleki od swojej „pełnej kraszy” i nawet Żydzi nie podnosili wtedy specjalnego alarmu z tego powodu. Polacy mieli jeszcze mniej podstaw do tego. Ideologia rasistowska, sięgająca swoimi korzeniami okresu przedhitlerowskiego, nie była jeszcze wyraźnie skryształizowana. Houston S. Chamberlain, obywatel niemiecki angielskiego pochodzenia, jeden z prekursorów „teutońskiego rasizmu”, cieszący się u Hitlera wielkim uznaniem, za Teutonów uważał co prawda w pierwszym rządzie Germanów, ale zaliczał też do nich Cel-  
tów i Słowian. Podobnie uważali też niektórzy późniejsi rasiści, wśród nich bliski współpracownik Hitlera, Alfred Rosenberg. Można więc było powiedzieć, że nie było się czego bać! A zresztą, Hitlera specjalnie w Polsce nie bano się, a przeciwnie - drwiono sobie z niego. A to, że antypolską propagandę z czasów demokratycznej republiki weimarskiej Hitler przyhamował, na antypolski Pakt Czterech; Niemiec, Anglii, Francji i Włoch, który Mussolini proponował, nie zgodził się, ukraińskich terrorystów mordujących Polaków oddawał polskim władzom, uchodziło jakoś uwagi. O Hitlerze więc wiele nie myślano, albo błędnie. Przecież jeszcze w końcu 1938 r. szef Sztabu Głównego gen. Waław Stachiewicz, a nade wszystko szef O-II, wywiadu polskiego, płk. Tadeusz Pełczyński, uważali Hitlera za „dobrodusznego Austriaka”, a obawiali się jedynie junkrów pruskich, nad którymi jakoby nie miał kontroli!

Nie udawajmy więc, że aż tak świadomie opieraliśmy się propozycjom Berlina przyłączenia się do Paktu Antykominternowskiego. Ot, po prostu tak wyszło ... A jeśli tak nie było, to **gdzie** są na to dowody? „Rządzący trójką”, Rydz-Mościcki-Beck, do którego czasem dołączał gen. Tadeusz Kasprzycki, minister spraw wojskowych, nie spotkał się, o ile wiadomo, **ani jednego razu**, żeby tak żywotne dla bezpieczeństwa państwa i narodu sprawy, jakimi były stosunki z Niemcami, dogłębnie przedyskutować! Nie oddawano „guzika”, powoływano się na „polski honor” w niehonorowym świecie i improwizowano bez końca ... Niby myślano o wojnie z Niemcami, ale przecież i tak najmniejszych szans na jej wygranie w osamotnieniu i przy sowieckim nożu w plecy, nie było, jak



nie było widać żadnych skutków tego myślenia, gdy ona wybuchła.

Na tym nie koniec. Stalin, jak się potem okazało **jedyny** faktyczny zwycięzca w wojnie, do której osamotnionym i nieuzbrojonym Polakom tak było śpieszno, nie chciał przecież z nimi rozmawiać (oni z nim też, gwoździ ścisłości). Wszyscy inni zaś rozmawiali z Polakami jak chcieli. Anglikom „przypomniało się” o Polakach dopiero 21 marca 1939 r., ale w kontekście rozważenia **wspólnie** z Francją i ZSRR możliwości antyniemieckiego sojuszu. Potem i o tym zapomnieli, rozmawiając już tylko w trójkę, bez Polski. Formalnie, 30 marca 1939 r., Anglicy wręczyli Polsce gwarancje na wypadek niemieckiej agresji, ale tak naprawdę, to dopiero 25 sierpnia tegoż roku nabrały one konkretnego kształtu. Sojusz z Francją z 1921 r., tylko w „relacji niemieckiej”, był kruchy, a tzw. protokół z 19 maja 1939 r., na wypadek agresji Niemiec przeciwko Polsce, był wręcz skandaliczny. Przrzeczenie, że Francja podejmie aktywne działania przeciwko agresorowi dopiero w 15-tym dniu wojny, warunkując to jeszcze podpisaniem „politycznego protokołu”, nie mówiąc o tym, że wahała się potem z jej wypowiedzeniem Niemcom, był kpina z sojusznika! Tym bardziej, że już wkrótce znano w Paryżu tajny załącznik do paktu Ribbentrop-Mołotow, o którym Polska nie wiedziała, a nikt jej o nim nie wspominał! Wiedząc o wspólnym, zbrojnym niemiecko-sowieckim wystąpieniu przeciwko Polsce, sojusznicy nie śpieszyli się więc z własnym wystąpieniem przeciwko Niemcom, odliczając jej jedynie dni agonii ... A potem, gdy do agresji przeciwko Polsce, dołączył jeszcze ZSRR, to Francja z Anglią odciągały ją choćby od symbolicznego wymówienia mu wojny!

Skoro więc **jedynie** Hitler chciał z Polską poważnie rozmawiać, to dlaczego w takiej sytuacji nie rozmawiano z nim? Każdy inny rozmawiał, Anglicy za plecami Polski, już po marcowych „gwarancjach”, a tylko ona postępowała inaczej! Rozmowy do niczego nie musiały przecież doprowadzić, ale może odciągnęłyby wojnę, albo podniosły przetargowe akcje Polski, z korzyścią dla niej. Gdzie ponadto na świecie dyplomaci nie rozmawiają i to z każdym i o wszystkim?

Jak też można było z góry **wykluczyć** antypolski sojusz niemiecko-sowiecki? Albo, do ostatniej chwili, kiedy już agresja sowiecka była w toku, jeszcze w nią **nie wierzyć** i spekulować co Moskwa chciała przez to powiedzieć?

Hitlerowi nie wierzono, a Stalinowi wierzono?

Tego, że Polska nie przystąpiła do antysowieckiego sojuszu polsko-niemieckiego, teraz **nie ma** co żałować, ale czy zdawano sobie sprawę z konsekwencji tego? W tej części Europy liczyły się **tylko** Niemcy i

ZSRR! Nie idąc na sojusz z Niemcami, Polska **skazywała** się przecież, nie na sojusz z ZSRR, gdyż takiego nigdy on nie poszukiwał, tylko na jego łaskę i niełaskę, na „realny komunizm”! I tej twardej i smutnej rzeczywistości **żaden** sojusz Polski z Anglią i Francją nie zmieniał! Fakt zaś, że Polska swoim „Nie!” rzuconym w twarz Hitlerowi przyczyniła się do wybuchu II wojny światowej, którą przegrał, naprawdę **nic** nie oznaczał w praktyce! Polska, będąc w koalicji Narodów Zjednoczonych, formalnie wojnę nawet wygrała, ale **tylko** militarnie, z niekorzystnym zresztą bilansem strat dla siebie. Etnicznych Polaków było 3-krotnie mniej od Niemców, a w starciu z nimi zginęło ich **wielokrotnie** więcej. Politycznie natomiast, rzecz o wiele ważniejsza, Polska wojnę **przegrała** i to w sposób wręcz zenujący. A zresztą, jaka Polska? Pod koniec wojny były już dwie, albo nawet trzy, „londyńska”, „lubelska” i „podziemna”, ta ostatnia zresztą kończąc żywot na ławie oskarżonych w Moskwie, z tą pierwszą kopniętą w końcu w zadek przez sojuszników zachodnich, którzy jej nawet nie powiedzieli „Dziękuję!” za wkład do wojny, ani tym bardziej dopuścili do „parady zwycięzców” w Londynie. Dopuścił ją za to, już swoją, Stalin, do parady w Moskwie, przedtem jednak kopiąc tamtą londyńską za „prowokację katyńską” w kwietniu 1943 r., a potem lepiąc ją na swoją modłę. Z Polakami w czasie wojny **nikt** poważnie nie rozmawiał, okłamywano ich na prawo i lewo, robiono z nimi co chciano, „ustawiając” nawet ich władze emigracyjne, zaczynając już pod koniec września 1939 r. od prezydenta i Wodza Naczelnego. W końcu wyszło na to, że ich największy wróg, Stalin, miał **najwięcej** w ich sprawie do powiedzenia! Anglia zresztą, **jedyny** wtedy sojusznik Polski, po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej, bardzo niedyplomatycznie **zmusiła** polski rząd emigracyjny do podpisania sojuszu ze Stalinem, grożąc nawet poważnymi konsekwencjami na wypadek nieposłuszeństwa. Układ Sikorski-Majski z 30 lipca 1941 r. był w rezultacie tego fatalny, a jedyną jego pozytywną stroną było uratowanie od pewnej śmierci setek tysięcy Polaków w ZSRR, których Stalin, na mocy ... amnestii, wypuszczał teraz na wolność... Szybko zresztą pozbywając się ich najaktywniejszej masy, która była mu do niczego niepotrzebna. Miał już „swoich” Polaków, a wkrótce miał ich jeszcze więcej.

Ze Stalinem, z rękami po łokcie zbroczonymi krwią polską, rozmawiano więc, a nawet akceptowano jego warunki. Z Hitlerem, przed jego agresją na Polskę, nie mającym jeszcze splamionych rąk polską krwią - nie chciano nawet rozmawiać, ani tym bardziej akceptować jego warunków. Dla niego było „Nie!”, a dla Stalina „Tak!”.

I żeby na tym był koniec! Armia Krajowa do końca przecież, kie-

dy już jej rząd był uznany przez Stalina za „kolaboranta Niemiec” i wykłety, walczyła po ... jego stronie, nierzadko ramię przy ramieniu z jego partyzantami i krasnoarmiejcami!

Czy w ten sposób chciano zatrzymać „realny komunizm” niesiony do Polski na sowieckich bagnietach? I czy aby **nie przyspieszono** jego przyjscia? Dlaczego też Polacy, niekomuniści, mieli potem pretensje, że on w końcu przyszedł?

Stalin, jak przystało na prawdziwego polityka, nie był wdzięczny Polakom za nie wdanie się z Hitlerem w sojusz przeciwko niemu, co przypisałoby go o klęskę wraz z „realnym komunizmem”.

Obroniliście go, to macie! - miał prawo powiedzieć ...

Polska, po kampanii wrześniowej, wypadła już z gry o powojenny kształt świata, a nade wszystko o kształt własnego kraju, geograficzny i polityczny. Na rozmowy z Hitlerem było już za późno. Stalin zaś, kiedy rozmawiał z Polakami w końcu zechciał, to właściwie nie było już innego wyjścia jak rozmawiać **tylko** z nim. Reszta nie liczyła się i nawet nie chciała się liczyć.

Problem polegał tylko na tym, że to Stalin dobierał sobie polskich rozmówców, a **nie** sami Polacy.

Polacy, a właściwie **jedynie** polscy komuniści, szans na rzeczowy dialog z nim nie mieli, a co najwyżej na pokorne wysłuchiwanie jego „rad”, czyli dyktatu.

Szansa Nr 2 przeszła więc do historii, w zapomnieniu, czego zresztą **nie należy** żałować. Ale trzeba przynajmniej wiedzieć, że w ogóle była i że Polacy **nie chcieli** z niej skorzystać.

Szansy Nr 3 już nie było, aczkolwiek Lech Wałęsa wierzy, albo ktoś każe mu wierzyć, że właśnie była i że to on osobiście ze swoją „Solidarnością” zniszczył „realny komunizm”, czego nie mógł dokonać ani Denikin z Piłsudskim ani Pakt Antykominternowski bez Polski...

### Wyrok Historii w działaniu

Po tym, co się stało tuż przed wybuchem II wojny światowej i w trakcie jej trwania, nie mogło być już wątpliwości, że Polska była **skazana** na „realny komunizm”, który zresztą mógł już dawniej do niej zawitać, pod koniec I wojny światowej, lub tuż potem. Ale, co się odwlekło, to nie uciekło ...

Paradoks marszu „realnego komunizmu” do Polski polegał tym razem na tym, że przeciwstawiały mu się **tylko** Niemcy, bite do spółki

przez tenże komunizm, jak i demokracje zachodnie oraz podszczypywane przez Polaków!

Któż więc, poza zniechęconymi przez Polaków hitlerowskimi Niemcami miał go jeszcze zatrzymywać?

Teoretycznie, mogła go zatrzymać jakaś antykomunistyczna i przyjazna Polsce rewolta w ZSRR, albo uderzenie zachodnich Aliantów przez Bałkany i Nizinę Węgierską na tyły niemieckiej części frontu wschodniego, czy wreszcie jakiś rozpaczliwy kontratak niemiecki przeciwko Armii Czerwonej, pobicie jej, obalenie Hitlera i bezwarunkowe poddanie się Niemiec jedynie USA i Anglii. Jakaś minimalną rolę w takim wyimaginowanym przebiegu wydarzeń mogli jeszcze odegrać Polacy, ale własnymi siłami nie mieli już **nic** do zrobienia. Niewielkie Polskie Siły Zbrojne na Zachodzie były **za słabe** na samodzielne i zwycięskie operacje, zwłaszcza na polskim teatrze wojennym, podczas gdy 1-milionowa niekomunistyczna Armia Podziemna, mimo całego szacunku dla niej, była mitem, egzystencją głównie na papierze. Nigdy, wliczając do niej Powstańców Warszawskich, nie miała więcej ludzi w polu niż ok. 100 tysięcy, a ponadto fatalnie uzbrojonych, zaopatrzonych, a nierzadko słabo wykształconych oraz dowodzonych. Nie była to, niestety, żadna siła bojowa, gdyby jej przyszło przejść do walk regularnych. Liczenie zaś, jak to było pod koniec I wojny światowej, na rozkład armii niemieckiej, było co najmniej pobożnym życzeniem. Starcie się zaś z nią w otwartym boju było samobójstwem. W kampanii wrześniowej, bez porównania silniejsze Wojsko Polskie od jego następczyni, Podziemnej Armii, traciło na polu walki przeciętnie 5 razy więcej żołnierzy od Wehrmachtu, nie licząc jeńców. Ledwie więc uzbrojona tylko w broń strzelecką Armia Podziemna, przy lepiej uzbrojonych niż w 1939 r. Niemcach, miała **jeszcze mniejsze** szanse powodzenia. W czasie I wojny światowej, dla przykładu, ponad 1/2 zabitych i rannych na froncie była rezultatem ognia artyleryjskiego i moździerzy. W II wojnie światowej już 3/4 ginęło i było ranionych od tego ognia oraz broni pancernej i lotnictwa, które, rzecz dawniej niemal nieznaną, przeniosło również walkę głęboko na zaplecze frontowe. Tego uzbrojenia Armia Podziemna **nie mogła** mieć, gdyż własna jego produkcja nie wchodziła w grę, zdobywanie zaś na polu walki było mrzonką, a dostarczanie go z zewnątrz, drogą powietrzną, było jeszcze bardziej nierealne.

Nic też dziwnego, że wał „realnego komunizmu”, od kiedy Armia Czerwona przejęła inicjatywę strategiczną na froncie wschodnim po bitwie stalingradzkiej, toczył się już praktycznie **bez przeszkód** w stronę Polski, podobnie jak innych krajów Europy Środkowej i Wschodniej. W

rzeczywistości, Polska nawet **wspomagała** ten ruch. Wspomagało go „ludowe Wojsko Polskie”, partyzantka komunistyczna, a nawet Armia Krajowa! Cóż bowiem robiła wołyńska 27 DPAK, walcząc ramię przy ramieniu z Armią Czerwoną przeciwko Niemcom, czy Brygady Wileńskiej AK? Czyżby chcieli wyzwalać na własną rękę tylko skrawki Polski? Jakież szanse mogły mieć ich wysiłki i co z tego wyszło?

A co zresztą miało wyjść? Wołyńska 27 dywizja AK, największa w polskim Podziemiu, miała niecałe 6 tys. żołnierzy i oficerów, praktycznie bez broni ciężkiej i przy brakach strzeleckiej. Wileńskie Brygady AK były jeszcze słabsze.

A jak miały się sprawy z toczącym się wałem?

Wał, pomijając przekroczenie przedwojennej wschodniej granicy polskiej 3 stycznia 1944 r. w okolicach Sarn, ruszył na całego w kierunku mającej powstać powojennej Polski, PRL, na Zachód od Bugu, dopiero latem tegoż roku. Ruch jego rozpoczęła 23 czerwca gigantyczna „Operacja Białoruska 1944”, czterech Frontów Białoruskich, wychodząca spod Witebska, Orszy i Mohylewa, z głównym ostrzem, I Frontem Białoruskim i częściowo II Frontem Białoruskim, prącym w kierunku Polski i jej stolicy Warszawy. Operacja, licząca 20 armii ogólnowojskowych, 2 pancerne i 6 powietrznych, łącznie 166 dywizji, 12 korpusów i 21 brygad samodzielnych, o stanie 2,4 mln. żołnierzy i oficerów, uzbrojonych w 36 tys. dział i moździerzy, 5,2 tys. czołgów i dział samobieżnych oraz 5,3 tys. samolotów, rozbiła w puch 63 dywizje i 3 brygady niemieckie o sile 1,2 mln. żołnierzy i oficerów, uzbrojonych w 9,5 tys. dział i moździerzy, 900 czołgów i dział samobieżnych oraz 1.350 samolotów. W 400-kilometrową wyrwę w pasie natarcia o długości 1,1 tys. kilometrów wdarły się sowieckie armie, które w dwóch skokach, do 4 lipca i następnie od 5 do 31 lipca, „Operacją Lubelsko-Brzeską” I Frontu Białoruskiego i „Operacją Białostocką” II Frontu Białoruskiego, docierając do Wisły i kończąc ofensywne operacje 29 sierpnia, stworzyły **solidną** bazę wyjściową dla polskiego „realnego komunizmu”.

Drugi człon wału sunącego w kierunku Polski, I Front Ukraiński, w ramach „Operacji Lwowsko-Sandomierskiej”, wychodzącej spod Łucka i Tarnopola, przeprowadzonej w dniach 13 lipca - 29 sierpnia 1944 r., siłami 1,1 mln. żołnierzy i oficerów, uzbrojonych w 16,1 tys. dział i moździerzy, ponad 2 tys. czołgów i dział samobieżnych oraz 3.250 samolotów, podobnie jak pierwszy, zgniół opór niemiecki, złożony z ok. 900 tys. oficerów i żołnierzy, uzbrojonych w 6,3 tys. dział i moździerzy, 900 czołgów i dział samobieżnych oraz 700 samolotów. Wał, 27 lipca 1944 r.,

dotarł do Wisły pod Sandomierzem.

Wspomniana powyżej polska baza „realnego komunizmu”, 5-milionowa „lubelska Polska”, stała w ten sposób **jeszcze bardziej** solidna.

I jak w tej sytuacji miała zachować się niekomunistyczna Armia Podziemna? Co mógł zdziałać Korpus Warszawski AK, w swoim szczytowym momencie liczący nie więcej niż 50 tys. bohaterskich, ale prawie bezbronych oficerów i żołnierzy, początkowo z co dziesiątym uzbrojonym w broń strzelecką, z amunicją na 2-3 dni walki? Albo 3,5-tysięczna 2 Dywizja Piechoty Legionowej AK, formującego się Korpusu Kieleckiego, największa wówczas „w lasach” na zachód od Wisły akowska jednostka, która w 1/3 miała wojsko bez **żadnej** broni, tylko **jedno** działko przeciwpancerne i „motoryzację” w składzie 2 samochodów ciężarowych?

Latem 1944 r. była to jeszcze sielanka! Kiedy bowiem wał znowu ruszył 12 stycznia 1945 r., w ramach „Operacji Wiślano-Odrzańskiej”, dla ostatecznego dokończenia tworzenia bazy „realnego komunizmu” w Polsce, to już **żadnej niekomunistycznej** Armii Podziemnej nie napotykał po drodze, jeśli nie liczyć parosobowych oddziałków po melinach...

Wał, składający się z I Frontu Białoruskiego i I Frontu Ukraińskiego, z pasem natarcia o długości 480 km, liczący łącznie 2,2 mln. żołnierzy i oficerów, uzbrojonych w 33,5 tys. dział i moździerzy, 7 tys. czołgów i dział samobieżnych oraz 5 tys. samolotów, potoczył się z dużą szybkością do Odry, docierając do niej miejscami już w dniach 22 stycznia - 3 lutego 1945 r. I nic dziwnego, gdyż do pokonania miał tylko 560 tys. niemieckich żołnierzy i oficerów, uzbrojonych w 5 tys. dział i moździerzy, 1,2 tys. czołgów i dział samobieżnych oraz 630 samolotów.

Miejscami opór Niemców, jak we Wrocławiu, przeciągnął się do końca wojny, ale w sumie **nie mieli** żadnych szans na zatrzymanie wału. I bardzo dobrze, nie Niemcom było już teraz decydować o losach Polski, Europy i świata.

Chodzi jednak o to, żeby nie zapominać o pewnych historycznych realiach i zdawać sobie sprawę **jak** to rodził się „realny komunizm” w Polsce! Jak olbrzymimi środkami bojowymi dysponował, wobec których jakiś polski opór był po prostu nie do pomyślenia.

A zresztą, jaki znowu opór? I Armia WP biła się zacięcie, ale z Niemcami, i bardzo słusznie, a wkrótce także II Armia, nie w Polsce co prawda, ale w Niemczech i w Czechosłowacji.

Mało tego, Polacy, w swojej większości, byli zdania, że tak właśnie trzeba! Poznaniacy, w styczniu-lutym 1945 r., samorzutnie wspierali walki Armii Czerwonej o miasto, ochotniczo idąc do ataku z granatami w

ręku i obficie przelewając krew, bijąc Niemca, a nie „Ruskiego”, który przecież na swoim bagnecie przynosił im „realny komunizm”!

A co mieli robić wszyscy inni Polacy, autora nie wyłączając?

### Jak przystępowano do „realnego komunizmu” (na przykładzie własnym)

Długo zastanawiałem się jak przedstawić rodzenie się i trwanie „realnego komunizmu” w Polsce. Powtarzanie wielu znanych faktów z tym związanych - mija się z celem. Przedstawianie zaś nowych, jest w moim przypadku niemożliwe, gdyż historykiem nie jestem i nie zamierzam nim być. Nie mam też dostępu do archiwów polskich, a do amerykańskich, jeśli jest tam coś interesującego, nawet nie próbuję, pozostawiając to innym.

Tak więc, najlepiej będzie podzielić się **własnym** doświadczeniem związanym z „budownictwem realnego komunizmu” w Polsce, chyba bogatym i wszechstronnym, a Czytelnik niech stąd wyciąga wnioski, jakie uważa za stosowne.

Oczywiście, mój przykład jest zapewne nietypowy, ale życie składa się właśnie ze zdarzeń nietypowych i przypadkowych. Inaczej byłoby zbyt „czytelne” i tym samym nudne.

Przedtem jednak, chciałem się podzielić filozoficzną refleksją.

Otóż, wśród ok. 10 mln. żyjących gatunków na Ziemi, czy może nawet 50 mln. jak twierdzą ostatnio uczeni, człowiek jest **jedynym** stworzeniem, które coś świadomie tworzy. Z drugiej strony, znów powołując się na uczonych, człowiek genetycznie jest w połowie ... drożdżami, a drożdże fermentują! Jeśli chodzi o mnie, to istotnie, w życiu zawsze jakoś „fermentowałem”, a więc może w drożdżach trzeba szukać odpowiedzi na to jak każdy z nas myśli i działa? Upraszczam sprawę oczywiście, ale przecież nie można wykluczyć i czegoś takiego.

Ludzie, od zarania swojego istnienia bez przerwy coś wymyślają. A to kulturę, wierzenia, prawo, doktryny i ustroje, czy wreszcie to, co nazywa się „materialnym bytem”, pełnym różnych wynalazków i odkryć z dziedziny nauk ścisłych, techniki i technologii.

„Wymyślanie” zaś, jest z reguły przywilejem jednostek. W wierzeniach, wymieniając tylko niektóre, Siddartha Gautama, Budda, „wymyślił” buddyzm. Może nawet tak wcale nie było, ale to nieważne. Przed laty, będąc w Waranasi, dawnym Benaresie w Indiach, gdzie Budda rozpoczął działalność, oprowadzający mnie po „miejscach świętych” hindu-

ski uczoney twierdził, że żadnego Buddy nie było, ale skoro 600 mln. jego wyznawców uważa co innego, więc to się liczy. Jezus z Nazaretu, Chrystus, wymyślił z kolei chrześcijaństwo, do spółki ze św. Pawłem i ewangelistami co prawda, ale mniejsza o to, podczas gdy Muhammad Ibn Abd Allah, Mahomet, wymyślił islam, też nie w pojedynkę, ale dajmy już spokój, skoro 1 miliard jego wyznawców wierzy w co wierzy.

O ludziach więc, którzy odcisnęli swoje piętno na cywilizacji ludzkiej, wiemy w końcu niewiele, nic, albo wreszcie nieprawdę. Skoro już piszę o komunizmie, „religijnym”, utopijnym, „naukowym” czy wreszcie „realnym”, to ciągle pamiętam o tym, że wymyślili go **konkretni ludzie**. O Marksie, Engelsie, Leninie czy Stalinie, takich właśnie „konkretnych ludziach”, wiemy bardzo dużo, ale na ogół nie od nich bezpośrednio. Do dziś nie wiadomo na przykład, co naprawdę myślał Stalin, który nie pozostawił choćby jednego słowa swoich wspomnień.

Oprócz tych co wymyślali to i owo, byli zawsze tacy i nadal są, o wiele liczniejsi, którzy wprowadzali to potem w życie. Bez tego nawet najwspanialsze idee, wierzenia i inne osiągnięcia geniuszu ludzkiego, pozostałyby nieznanne, albo prawie nieznanne.

Zamiast więc powoływać się na innych co oni myślą o „realnym komunizmie”, powołam się na siebie samego, który go „robił” na co dzień przez dziesiątki lat. Na swoje szczęście czy nieszczęście, nie wymyśliłem go, ani też nie byłem żadną czołową postacią, która wprowadzała go w życie. Ale tkwiłem w jego wnętrzu, aktywnie, a więc warto podzielić się własnym doświadczeniem, czym on był naprawdę i „o co jemu szło”, jakby zaśpiewała Hanka Bielicka...

„Realny komunizm” znałem od przysłowiowej podszewki, nie w pełni oczywiście, gdyż takich nigdzie nie było, ale znałem. Pełniłem różne funkcje w ZWM, potem w ZMP, w PPR, a następnie w PZPR, będąc nawet dwukrotnie funkcjonariuszem jej Komitetu Centralnego, z doradztwem ekonomicznym u Edwarda Gierka włącznie, zanim z niego nie zrezygnowałem. Doradztwo dało mi możliwość widzenia z bliska pierwszej w kraju osoby oraz przysłuchiwanie się obradom głównych instytucji władzy w PRL, BP, Sekretariatu, Plenum KC i zjazdu partii. Bywałem też na posiedzeniach Prezydium Rządu i Rady Ministrów, Prezydium Komisji Planowania, na sesjach Sejmu i jego komisji oraz Kolegium Ministerstwa Handlu Zagranicznego i Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Pełniłem różne funkcje w aparacie państwowym, w dyplomacji, będąc też oficerem kadrowym wywiadu wojskowego, Zarządu II Sztabu Generalnego. Byłem wreszcie pracownikiem naukowym, dobijając się tytułu Profesora

Nadzwyczajnego Nauk Ekonomicznych, biorąc z tego tytułu udział w posiedzeniach uczelnianej Rady Wydziału i czasem Senatu. Sporo jak na warunki PRL pisałem, książek nie wyłączając, a czasami występowałem w radio i telewizji.

Ponadto, tak myślę, miałem oczy i uszy otwarte na wszystko i nic nie przyjmowałem na wiarę i bezkrytycznie.

Marksizm-leninizm też znałem nieźle, nie od zaraz oczywiście, ale studiując go regularnie na uczelni i przy okazji zdobywania kolejnych tytułów naukowych, przyswoiłem go sobie w stopniu dostatecznym (dziś studiuję go nadal). Nie byłem nim zachwycony, ale i nie odrzucałem go całkowicie. W gmatwaniu różnych idei i myśli można było wyłowić w nim rzeczy słuszne i dobre, jak też bezsensowne, czy nawet zbrodnicze. Podobnie zresztą jak we wszystkich innych ideologiach, doktrynach, czy wierzeniach. Judaizm w starożytności na przykład, wpajał Piąte Przykazanie, „Nie zabijaj!”, ale za nie przestrzeganie świąt - karał śmiercią...

Widziałem większość krajów „realnego komunizmu”, niektóre wielokrotnie. Miałem więc możliwość porównywania różnych „realnych komunizmów” (na ich tle PRL wyglądała korzystnie).

Mogłem też porównywać PRL z Zachodem i Trzecim Światem, nieźle mi znanymi.

Entuzjastą komunizmu, mimo że ktoś ma prawo w to nie wierzyć, nie byłem nigdy, traktując go jako zło konieczne, które trzeba tolerować, do czasu jednakże, a w międzyczasie walczyć z nim, na ile było to możliwe, najlepiej od wewnątrz.

I tak właśnie czyniłem, albo tak mi się zdawało.

W PRL mogło i powinno być lepiej - tak myślałem - ale bez nadziejnie przecież nie było, w przeciętnej skali, rzecz jasna, a nie w indywidualnych przypadkach. Zresztą, w pewnym momencie wyglądało nawet na to, w pierwszej połowie „ery Gierka”, że sytuacja poprawia się i to na każdym odcinku.

Nie bez znaczenia był i inny fakt. Swój „flirt z komunizmem” rozpocząłem w okresie wczesnej młodości, kiedy to, rzecz całkiem naturalna, człowiek widzi świat „na różowo”. A i potem, wchodząc w wiek dojrzały, długo nie widziałem go „na czarno”.

Komunizm bardzo długo uważałem za reformowalny, ale nie byłem pewny kiedy i jak może stać się to rzeczywistością. Niby wszystko wydawało się iść we właściwym kierunku, raz szybciej, a raz wolniej, ale oto raptem, po ogłoszeniu „stanu wojennego”, ogarnęło mnie zwątpienie. Wtedy właśnie uznałem go definitywnie za niereformowalny.

Stąd i moje z nim zerwanie. W pewnym momencie miałem go po prostu dość... Wieczna szarpanina z samym sobą, zmuszanie się do wiary w coś, w co nie wierzyłem, było niemożliwe na dalszą metę. Wielkim zwolennikiem kapitalizmu i demokracji parlamentarnej nie byłem co prawda (i nadal nie jestem), ale też nie miałem wątpliwości, że są lepsze od „realnego komunizmu”, a zwłaszcza tego satelitarnego typu, którym PRL była w całej rozciągłości, aczkolwiek z „narodowymi niuansami”. Gdybym naprawdę wierzył, że polscy komuniści, ci o „narodowym profilu”, a tacy też byli, mieli pełną swobodę działania, bez postawienia się ponad partią „kompleksu wojskowo-policyjnego”, całkowicie uległego Moskwie, to w realiach geopolitycznych PRL - nie zrywałbym z nią. A zwłaszcza z tak podejrzanego powodu, jak uderzenie przez władze „Solidarności”, ich własnego przecież produktu...

Zerwania dokonałem jako ambasador PRL w Japonii. Zrywając z PRL, PZPR i tym samym z komunizmem, za co odplacono mi się zaoczny wyrok śmierci, pozbawieniem obywatelstwa polskiego i konfiskatą mienia (dwie ostatnie kary obowiązują do dnia dzisiejszego...), zerwałem jednocześnie z moją przeszłością, jeśli coś takiego jest w ogóle w pełni możliwe.

Dramatyzm tej decyzji nie był wynikiem tylko nastroju chwili, choć niewątpliwie odegrał on olbrzymią rolę. Śmierć górników z kopalni „Wujek” wstrząsnęła mną. Już po krwawych wydarzeniach na Wybrzeżu w grudniu 1970 r., powiedziałem sobie, że następnych tego rodzaju nie będę już tolerował i słowa dotrzymałem. Nie dlatego, że jestem człowiekiem o „gołębim sercu” i że śmierć ludzka przeraża mnie. Zdarzało mi się już wcześniej widzieć ją z bliska. Przerażało, a raczej oburzało mnie co innego. Nie miałem bowiem wątpliwości, że krwawe „spontaniczne” wydarzenia w PRL miały **wielce podejrzane** tło, były przez kogoś reżyserowane, zapewne nie w szczegółach, z nie bardzo jasnym ich celem końcowym, ale niemniej jednak. Tak było z częścią powojennego podziemia zbrojnego, a potem opozycji politycznej, Poznaniem, Październikiem, Marcem, Wybrzeżem, Ursusem i Radomiem, a wreszcie „Latem 80” i „stanem wojennym”. Komuś zależało, tak myślałem, na skłócaniu Polaków, którzy jako tako znajdowali coraz bardziej wspólny język, jakżeż im konieczny w nienormalnej sytuacji. Podejrzenia moje, łatwo zgadnąć, padały na Moskwę, jej bardzo aktywne w PRL służby specjalne, które z „polskimi siostrami” były „państwem w państwie” i „partią w partii”.

Czy nie pośpieszyłem się ze swoją decyzją? Odpowiedź na to pytanie, pozostawiam bez odpowiedzi, gdyż jeszcze **za wcześnie** na nią.

Skoro tak skończyłem z „realnym komunizmem”, jak skończyłem, to **dłaczego** w ogóle z nim zaczynałem?

Na to pytanie jestem wręcz **moralnie zobowiązany** odpowiedzieć, zakładając z góry, że odpowiedź nie zadowoli wszystkich.

Trudno, spróbuję. Zanim bowiem skończyłem z „realnym komunizmem”, to najpierw musiałem przeciw z nim zacząć. Ten początek właśnie jest najważniejszy, jak we wszystkim innym w życiu. Francuzi mają dobre powiedzenie „il n’y a que le premier pas qui coute”, że tylko pierwszy krok kosztuje, on się liczy. Z ostatnim, z końcem, bywa różnie. Przychodzi sam, nie proszony, najczęściej niespodzianie i bez możliwości zmiany jego rozkładu.

Z początkiem jest na ogół inaczej. Powiedzenie, że „jak sobie poscielisz - tak się wyspisz”, oddaje więc najlepiej istotę zagadnienia. Początek jest więc dziełem nas samych.

I tak też było ze mną. „Wepchnąłem się”, albo „wpadłem” w polski „realny komunizm”, bardzo wcześnie, niemal na samym początku jego istnienia.

A co wiedziałem o komunistach, kiedy do nich przystępowałem?

W moim wieku, prawie **nic** o nich nie wiedziałem. Komunistę, jednego tylko, tak przynajmniej ojciec o nim mówił, widziałem jeszcze przed wojną, kierownika szkoly Zuchmantowicza w Pionkach, do której chodziłem, do trzeciej klasy włącznie.

Ani wtedy jednak, ani bardzo długo potem, nie wiedziałem, że przed wojną komunistów było w Polsce bardzo mało, nie więcej niż 15-16 tysięcy. Organizacyjnie byli skupieni w KPP, Komunistycznej Partii Polski, jak zwała się od lutego 1925 r., po zmianie nazwy z KPRP, Komunistycznej Robotniczej Partii Polski, powstałej w grudniu 1918 r. Nie wiedziałem też, że oprócz KPP były jeszcze na terenie Polski, z niezbyt jasnymi więzami wzajemnymi, trzy inne partie komunistyczne. KPZU, utworzona w 1919 r. Komunistyczna Partia Zachodniej Ukrainy, KPZB, utworzona w 1923 r. Komunistyczna Partia Zachodniej Białorusi, a także KPGŚ, utworzona w 1920 r. Komunistyczna Partia Górnego Śląska.

Nie wiedziałem, że skład członkowski KPP, co najmniej w połowie, rekrutował się z mniejszości żydowskiej, która w Polsce stanowiła 1/10 ludności. Partia więc, choć formalnie polska, była zatem etnicznie nie-reprezentatywna, zwichnięta. KPP była wreszcie partią po 1926 r. nielegalną, ze względu na swoje powiązania agenturalne z Kominternem, a nade wszystko sowieckim wywiadem, głównie wojskowym, ze względu na jej misję „rozkładania” i szpiegowania Wojska Polskiego. Wreszcie,

KPP była wewnętrznie skłócona i podzielona na frakcje, jak i głęboko spenetrowana przez polskie służby specjalne. Kto więc w Polsce był komunistą, a kto ich agentem - do dziś nie wiadomo (podobnie jak to było potem z antykomunistyczną opozycją w PRL...).

Na koniec, w sierpniu 1938 r., KPP została rozwiązana, formalnie przez Komintern, a faktycznie Stalina, z powodów do dziś nie w pełni znanych. Nie jest wykluczone, że zamierzając dokonać nowego rozbioru Polski do spółki z Niemcami, pomysł może sprzed paktu Ribbentrop-Mołotow, Stalin nie chciał mieć kłopotów nawet z polskimi komunistami. Polskiej republiki sowieckiej zapewne nie zamierzał tworzyć na terenach „wyzwalanych”, gdyż wcielał je do istniejących już republik, a resztę zostawiał Niemcom do decyzji.

Sprawa z rozwiązaniem KPP też nie była zbyt jasna. Komunikatu oficjalnego nie podano, a przeciwnie, coś tam pisano, że istniała nadal. W rzeczywistości, jakiejś jej władze istniały w ... Paryżu, za wiedzą i poparciem Moskwy.

Jedno jest natomiast pewne, że już od początku lat 1930-ch zaczęto w ZSRR stopniowo masakrować komunistów polskich, a resztę posyłać do łagrów, o bardzo surowym reżimie, na długie lata (rozmawiałem z takimi, gdy wracali w połowie lat 1950-ch, nie wiedząc, że w międzyczasie była II wojna światowa!). Tylko nieliczni przeżyli, nie wiadomo dlaczego.

Nie wiedziałem oczywiście, że początki komunizmu polskiego przypadały na luty-marzec i lato 1893 r., kiedy to założono partię pod nazwą SDKP, Socjaldemokrację Królestwa Polskiego, która w 1900 r. zmieniła nazwę na SDKPiL, Socjaldemokrację Królestwa Polskiego i Litwy. SDKP/SDKPiL sięgała z kolei swoimi korzeniami I Proletariatu, albo Wielkiego Proletariatu, założonego w zaborze rosyjskim w 1882 r., podobnie jak PPS-Lewicy i szeregu innych ugrupowań i partii lewicowo-radykalnych.

O tym wszystkim, bardzo długo nie wiedziałem, jak i o tym, że tylko parę tysięcy rozproszonych komunistów polskich zastała wojna w kraju.

Rzecz jasna, nie wiedziałem również, że 28 grudnia 1941 r. i na początku 1942 r., zrzucono na spadochronach nasłane z Moskwy dwie „grupy inicjatywne” (była też trzecia, całkowicie żydowska, ale przepadła bez śladu), które 5 stycznia 1942 r. odtworzyły partie komunistów polskich pod nazwą PPR, Polskiej Partii Robotniczej.

A zatem, nic prawie nie wiedząc o komunizmie, tym bardziej **nie musiałem** do niego „przystawać”, mówiąc bez owijania spraw w bawe-

inę, szczególnie że nikt w mojej najbliższej rodzinie, rdzennie polskiej i katolickiej, komunistą nie był. Przeciwnie, ojciec mój i jego młodszy brat, jak inni krewni i znajomi, byli weteranami wojny polsko-bolszewickiej (ojciec był nawet raniony w Bitwie Niemeńskiej). W czasie okupacji zaś, w powiecie koneckim na kielecczyźnie, ojciec powiązał się z ZWZ/AK. Wyrastałem więc w atmosferze nieprzyjaznej komunizmowi.

Ale zaczniemy po kolei.

Otóż, w wieku 15,5 lat, 20 września 1945 r., w powiatowym miasteczku Końskie na kielecczyźnie, wówczas w województwie łódzkim, wstąpiłem do ZWM, Związku Walki Młodych, komunistycznej organizacji młodzieżowej przy PPR, Polskiej Partii Robotniczej.

Jeszcze parę dni wcześniej o takiej organizacji nie słyszałem! Nie wiedziałem, że powstała w styczniu 1943 r. w okupowanej Warszawie, że założył ją Jan Krasicki, sowiecki wywiadowca, zrzucony na spadochronie w jednej ze wspomnianych powyżej „grup inicjatywnych”, którego potem zabili Niemcy.

Co mnie skłoniło zatem do wstąpienia do organizacji, o której nic nie wiedziałem?

„Przypadki chodzą po ludziach” - mógłbym na to odpowiedzieć.

Jednego dnia bowiem, idąc koło boiska piłki nożnej blisko stacji Końskie, usłyszałem serie karabinu maszynowego na pobliskiej strzelnicy. Pobiegłem zobaczyć, gdyż strzelanina i broń zawsze mnie podniecały. Zobaczyłem tam nieznanym mi rówieśników strzelających do tarczy z erkaemu. Jakiś mężczyzna w średnim wieku, w szynelu wojskowym, jakby opiekun grupki, zapytał czy nie chciałbym spróbować ... Spróbowałem, pytając go kim są ci chłopcy.

- Zetwuemowcy - odpowiedział, ale widząc moje zdziwienie wyjaśnił, że to Związek Walki Młodych, „młodzież PPR, ochotnicy do walki z „Wehrwolfem”, „wilkołakami” na Ziemiach Odzyskanych - kontynuował.

- Mają siedzibę w hotelu „Polonia” - dodał jakby od niechcienia.

O ZWM nic nie wiedziałem, ale o PPR miałem już mgliste pojęcie. Coś o niej słyszałem jeszcze w czasie okupacji, a nawet widziałem podporządkowane jej oddziały AL, Armii Ludowej, które proponowały mi nawet przyłączenie się do nich, ale ponieważ wiedziałem, że były komunistyczne - więc tego nie uczyniłem.

Po wojnie, uczęszczając do gimnazjum, na PPR, ani tym bardziej ZWM, jakoś nie „nadziałem się”, ale za to wyśpiewywałem w ZHP, zmienioną nieco w treści, taką oto piosenkę:

- „bo AK, to najpiękniejsza armia świata!  
bo AK, co peperowców z Polski zmiata!...”

W czasie okupacji śpiewano, że zmiatała hitlerowców, a teraz peperowców, co uważałem zresztą za zupełnie normalne.

Z tą tylko różnicą, że peperowców, prawdę mówiąc, AK bynajmniej nie zmiatała. Przeciwnie, to UB, w służbie PPR, zmiatało akowców z domów i ulic, mojego ojca nie wyłączając (na szczęście na krótko). Z drugiej strony, wielu akowców, których znałem, było w milicji, w wojsku, a nawet w UB ...

I oto teraz „nadziałem się” wreszcie na PPR i jej młodzieżową filię ZMW.

Co więcej, mężczyzna, który ze mną rozmawiał, jak wyjaśnił, był I sekretarzem Komitetu Powiatowego PPR, o nazwisku Stanisław Klusek, przedwojenny, więziony KPP-owiec, wojenny PPR-owiec, oświecimiak, częściowo sparaliżowany, ale niezwykle przekle żywotny i bardzo charyzmatyczny działacz, jak się wkrótce przekonałem. Na moją uwagę, że PPR robi z Polski „siedemnastą republiką”, odpowiedział spokojnie i z naciskiem:

- Kolego, dzięki PPR - Polska nią nie będzie!

Zatkało mnie. Tego nie spodziewałem się. Mówiono, że za takie słowa wsadzano, a tu nic! Facet mówi jeszcze, że PPR nie dopuści do 17-tej republiki! Jak to, prawda czy żarty?

Klusek, w okresie stalinizmu - wybiegam naprzód - był uznany na „nacjonalistę”, popadł w niełaskę, ale potem, po Październiku, powrócił na swoje stanowisko.

Ale o tym wiedziałem dopiero potem.

Nie wdając się w dalsze z nim dysputy, poszedłem więc do domu, rozmyślając o tym, co widziałem i co usłyszałem.

Do Ziemi Odzyskanych, których jeszcze nie widziałem, ale już uznałem za nasze polskie ziemie, byłem jakoś od początku bardzo emocjonalnie przywiązany. Ojciec, który był tam krótko, w Oławie, zachwycał się nimi.

I oto teraz Niemcy chcą je odbierać! Nie doczekanie! Po paru dniach, poszedłem do hotelu „Polonia” i wstąpiłem do ZWM ... Wyjaśniono mi, że następna grupa zetwuemowców wkrótce pojedzie na Ziemię Odzyskaną. Pojechała po kilku miesiącach, wraz ze mną. „Wilkołaków” nie widziałem, choć bardzo mnie korciło strzelać do nich, ale za to widziałem Ziemię Odzyskaną, Dolny Śląsk, które, mimo zrujnowanego Wrocławia, szabrowania

przez rodaków oraz wojsko sowieckie, oszołomiły mnie swoją świetnością. W następnym roku widziałem je jeszcze raz.

Kto wyciągał rękę po nie - był teraz moim wrogiem! A ponieważ mówiono, że wyciągał Churchill, Byrnes, papież i cała plejada „rewizjonistów zachodnoniemieckich”, więc tym gorzej dla nich!

I tak się zaczęło. Gdyby nie wojna, okupacja, przyjsście do Polski armii sowieckich, zmiany jej granic i nastanie „realnego komunizmu”, wtedy jeszcze o niczym podobnym nie mówiono, to przecież nigdy nie zasiliłbym jego szeregów! Nic innego mnie w nim wtedy nie pociągało, a z czasem i to zaczęło ciążyć.

Raz jednak w coś się wdępnie, to trudno z tego potem nogę wyciągnąć ...

Ilu było ZWM-owców w Końskich, gdy zostałem jednym z nich?

W gimnazjum byłem jedynym takim członkiem. Kilkunastu ze-  
twuomowców było w trzech zakładach odlewniczych w Końskich, w gimnazjum mechanicznym i tyłuż „luzaków na mieście”.

Komunistą, w sensie światopoglądowym, po wstąpieniu do ZWM, nie zostałem, choć formalnie nim byłem. Nikt w nim nie mówił „jestem komunistą”, ani też nie słyszałem niczego podobnego w PPR. Dopiero w PZPR tu i ówdzie zaczęto się do tego przyznawać.

Nie zostałem komunistą również po wstąpieniu 24 sierpnia 1946 r., w wieku 16,5 lat, do PPR, do której „zapisal” mnie Klusek. Powiedział, wyciągając i podpisując legitymację bez zdjęcia, że „jesteście dorosłym człowiekiem” - i to wszystko. O nic nie pytał, tak jak i ja, a muszę przyznać, że imponował mi swoją postawą, elokwencją i prostotą w obyciu. Tuż przedtem, z okazji tzw. Referendum, na wiecu w Rudzie Maleńckiej, gdzie mnie zabrał motocyklem z przyczepą, przemawiał w remizie strażackiej. Mówił ze swadą, ale sala reagowała nieprzyjaźnie. I oto, nie pytając mnie o nic, zapowiedział, że teraz wystąpi „przedstawiciel młodzieży” ...

Zdrętwiały z wrażenia - wystąpiłem. Dziś nie pamiętam ani jednego słowa z tego o czym mówiłem, ale było to coś na „patriotyczną nutę”. Czytałem wtedy dużo o walkach Legionów, o kampanii wrześniowej, AK i wielu innych epopejach oręza polskiego, zanim w czasach stalinizmu literatura o tej tematyce nie zniknęła. Sala biła mi gorące brawa, a Klusek był wniebowzięty ...

Ilu było wtedy peperowców w Polsce?

W czasie okupacji podobno ok. 20-30 tysięcy, ale była to cyfra chyba zawyżona. Pod koniec 1945 r. było ich już ok. 235 tysięcy, w rok póź-

niej, kiedy wstępowałem do PPR, było ich już ok. 500 tysięcy, a pod koniec 1947 r. już ponad 800 tysięcy. Jak na prawie 25-milionowy kraj, było to dużo, bardzo dużo.

Żadnych korzyści, nie tak jak dorośli, którzy wiedzieli po co rękę wyciągać, z „przystąpienia do komunistów” nie miałem, choćby ze względu na mój wiek, ani niczego sobie po tym nie obiecywałem. Marzyło mi się zostać pilotem wojskowym, a wtedy jeszcze członkostwo w ZWM czy PPR nie było do tego koniecznym wymogiem.

W ZWM i PPR więc byłem, ale, tak twierdzą, komunistą nadal nie byłem. Żadnego „ideologicznego szkolenia” wtedy nie było, tzw. literatury propagandowo-ideologicznej prawie też, zresztą, nie czytałem jej, gdyż nie interesowała mnie, poza „Wstępem do teorii marksizmu” Adama Schaffa. Była to niewielka książeczka, którą dokładnie przeczytałem i wszystko wtedy stało się dla mnie jasne. Dopiero za parę lat przystąpiłem do systematycznego studiowania marksizmu-leninizmu, który mnie rozczarował.

W międzyczasie, żyłem głównie „własnym życiem”, jeśli tak to można powiedzieć, dojrzewającego chłopaka, który ma „wichry w głowie” i niekoniecznie marksistowsko-leninowskie... W wieku 18-tu lat, a słowa niniejsze piszę w pół wieku później, spotkałem dziewczynę w gimnazjum, oszalałem, chciałem się zaraz zenić (stało się to po sześciu latach, już po studiach i szczęśliwie żyjemy razem do dnia dzisiejszego) i co tam była dla mnie polityka i ideologia! Tak, „udzielałem się” politycznie, ale to były sprawy wtórne! Randka, czy potańcówka szkolna, te były ważne, a nie cokolwiek innego!

Najwięcej, pomijając późniejsze „sprawy sercowe”, żyłem swoim środowiskiem. Gimnazjum ogólnokształcące, jedyne przed wojną w Końskich, miało teraz 3-4 razy uczniów więcej, pracując na dwie zmiany. Otwarto też gimnazjum handlowe, mechaniczne, niezwykle popularne i pękające w szwach od młodzieży męskiej, na dodatek założono jeszcze „zawodówkę”, szkołę coś jakby średnią.

I młodzież płynęła do szkół, a nie do lasu, który zresztą był już pusty od partyzantów. Kręciły się jeszcze czasem drobne ich oddziały, często półkryminalne, albo tworzone przez UB, ale po spektakularnym rozbiciu kieleckiego więzienia przez „Szarego” w nocy z 4 na 5 sierpnia 1945 r. - poważniejszych akcji Podziemia na kielecczyźnie i w koneckim już nie było.

O jakim podziemiu była zresztą mowa? Okupacyjne, z Delegatem Rządu i Komendantem Głównym AK, samo weszło w pułapkę i zamiast wylądować w Londynie, wylądowało w Moskwie, na ławie oskarżonych.



W dniu odczytywania mu wyroków, w Moskwie właśnie, powstał Rząd Jedności Narodowej, ze Stanisławem Mikołajczykiem, b. premierem rządu emigracyjnego z Londynu...

A więc, kochajmy się! Armia Krajowa była rozwiązana już 19 stycznia 1945 r., a żadne inne podziemie nie trafiało mi do wyobraźni. Wielu działaczy okupacyjnego Podziemia wzywało do wychodzenia z lasu. I wychodzono, sam to widziałem, czyli jaki był sens wchodzenia do niego? Coś tam mówiono o WiN, ale jego kierownictwo prawie natychmiast trafiło na ławę oskarżonych, a następne były tworem UB!

Jeszcze tylko niektórzy bardzo młodzi ludzie, w moim wieku, rwali się do walki, ale były to akty nie tyle patriotyczne, co zwykła dziecinada ... Jeden z moich rówieśników, Lachowski, zakładał nawet ... własny oddział partyzancki. Wytańczył z ukrycia porzucony przez Niemców w 1945 r. karabin, skądś wytrzasnął mundur wojskowy, kupił nowe oficerki i ruszył „do akcji”, rozbijając MO i UB. Już pierwszego dnia, wezwany przez niego do poddania się, idący ścieżką leśną koło Mysich Górów milicjant, nie usłuchał rozkazu i zastrzelił nieszczęśnika. Inny mój rówieśnik, Zygmunt Kłubiński, który jednego brata stracił w Katyniu, a drugiego, akowca, zastrzelił w niejasnych okolicznościach patrol sowiecki w 1945 r., bez przerwy tworzył „własne podziemie”. UB zaś ciągle go aresztowało i zwalniało, aż dostał schorzeń psychicznych i zmarł w wieku ledwie dojrzałym.

Nastroje w narodzie, choć Andersa na „białym koniu” wielu wycekiwało, były ogólnie pokojowe. Świadczyły o tym choćby liczne bale, pod gołym niebem i pod dachem, w czasie których od stołów i stolików niosły się w górę „Czerwone maki”, „Czy pamiętasz tę noc w Zakopanem...”, „To jest Ameryka, to słynne USA!”, „My dziś razem z walczącym narodem” i inne patriotyczno-sentymentalne pieśni, które zgodnym chórem śpiewali b. akowcy, milicjanci, ubowcy i „zwykli” obywatele, odrabiający teraz zakaz zabaw z czasów okupacji.

Masowo też zawierano śluby i naród, rzecz najważniejsza ze wszystkich innych, odnawiał się biologicznie w szybkim tempie. Za „stalinizmu”, paradoksalnie, w tempie szybszym niż kiedykolwiek przedtem i potem.

I słusznie, że naród chciał żyć! W połowie zagrożony gruźlicą - nie miał prawa porywać się na nowe i krwawe czyny! Do dziś pamiętam radość, kiedy nie odkryto u mnie niebezpieczeństwa gruźlicy.

A Stanisław Mikołajczyk i jego PSL? Prawdę mówiąc, nigdy nie rozumiałem, tym bardziej teraz, sensu jego przyjazdu do kraju. Czyżby wierzył, że wolnymi wyborami, których wtedy nie było, zmieni wynik II

wojny światowej? Nie zmienił i w końcu uciekł, a jak mi mówiono - wywiad angielski z sowieckim uzgodniły jego wyjazd z Polski, podczas gdy jego zwolenników mordowano i latami trzymano po więzieniach! I co wygrał? Dawne ZSL, filia b. PZPR, przemianowało się teraz na PSL! Kpina!

Reasumując, komunistą byłem i nie byłem. Na lekcje religii uczęszczałem do zdania matury w 1950 r., tak jak i do kościoła. Zanim jeszcze nadciągnął stalinizm, powstały 22 lipca 1948 r. ZMP, Związek Młodzieży Polskiej, na miejscu ZWM i innych trzech lewicowych organizacji młodzieżowych, stał się teraz organizacją polską jakby, ze znaczkami w biało-czerwonym tle, masową, ze wszystkimi chyba uczniami koneckich szkół średnich w jego szeregach. Nie czułem się więc wyobcowany ze środowiska gimnazjalnego, choć i przedtem nie odczuwałem nic podobnego.

PPR zniknęła, łącząc się 15 grudnia 1948 r. z PPS, Polską Partią Socjalistyczną, stając się PZPR, Polską Zjednoczoną Partią Robotniczą. Oficjalnej nazwy „partii komunistycznej”, mimo stalinowskiego już powiewu, nie przyjęła i tak pozostało, jeden z nielicznych wyjątków w „realnym komunizmie” (istniała aż do samorozwiązania się 29 stycznia 1990 r.; wyłoniły się z niej 2 partie: SdRP, Socjaldemokracja Rzeczypospolitej Polskiej i PUS, Polska Unia Socjaldemokratyczna, która rozwiązała się w 1991 r.).

Tak, w wielkim skrócie, dołączyłem do „realnego komunizmu” w Polsce. W jego szeregach dopiero uczyłem się go naprawdę, gdyż przedtem, jak to już podkreślałem, nie wiedziałem czym on był.

Potem, wraz z wchodzeniem w wiek dojrzały, wiedziałem już o nim bardzo dużo, może nawet za dużo i stał moje z nim dramatyczne zerwanie.

Wiem oczywiście, że z innymi było inaczej, że do „komunistów wstępowali” często z bardzo niskich pobudek, że ślepo wykonywali co im kazano, a nierzadko wykazywali nadmiar złej woli i wręcz zbrodniczą nadgorliwość. Znałem nawet takich i brzydziłem się nimi.

Ale byli też ludzie uczciwi, patriotyczni, o czystych intencjach i rękach, jak wszędzie i zawsze na świecie.

### Polski nierealny „realny komunizm”

W Polsce, dziś jestem o tym święcie przekonany, nie mieliśmy nigdy żadnego „czystego ustroju”, z prawdziwego zdarzenia i zgodnego ze swoją nazwą. Demokracja szlachecka była anarchią, demokracja przed-

wojenna, po 1926 r., dyktaturą, najdziwniejszą w świecie, Polska Podziemna nie bardzo wiadomo czym była, emigracyjna jeszcze bardziej, a po wojnie, choć tkwiłem w „realnym komunizmie”, naprawdę nie wiem czym on był!

Weźmy na przykład stalinizm, okres w nim najgorszy, ale względnie krótki historycznie.

Ludzie znikali z ulicy, aczkolwiek nie masowo jak to trafiało się w innych krajach „realnego komunizmu”, w ZSRR w pierwszym rządzie. Maltretowano ich i mordowano, wobec czego bano się UB, a wojskowi Informacji, jak ognia.

Ale, ale, zależy kto się bał. Chuligani w Warszawie, których za stalinizmu były roje, nie bali się nikogo! Milicja, która była, podobnie jak UB, w tym samym Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego, ... bała się chuliganów! W UB można było zdzierać paznokcie, ale milicjantowi nie wolno było mieć pałki, którą mógłby zdzielić, nawet w obronie własnej, rozwyrzonego chuligana! Sam słyszałem na naradzie w KC, jak pałki określano jako „barbarzyński” przedmiot, niegodny „ludowej milicji”! W śledztwie w UB można było bić niewinnych bykowcami z grubym drutem w środku, ale broń Boże chuligana gumową pałką, który był najczęściej winny pospolitego przestępstwa!

Nie ulega jednak najmniejszej wątpliwości, że stalinizm zapisał się czarno w historii PRL.

Ze stalinizmem wiąże się postać Bolesława Bieruta, głównego jego przedstawiciela w Polsce.

No dobrze, a co o nim mówiono, gdy zmarł? Skakono może z radości? Ależ gdzie tam! Jako funkcjonariusz KC, przydzielony do delegacji chińskiej ambasady, szedłem w marcu 1956 r. w kondukcie pogrzebowym tuż za trumną Bieruta. Od zbiegu Nowego Świata i Alei Jerozolimskich aż na Powązki.

No i co? Wszędzie widziałem nieprzebrane tłumy na chodnikach, w oknach, drzwiach i bramach, na balkonach, dachach i na wszystkich możliwych słupach i drzewach.

Wyrażano może przeciagającą trumnę? Skądże! Zdejmowano czapki, klękano, żegnano się, a nierzadko płakano rzęsiстыми łzami...

Przez parę dni i nocy przedtem, wystawione w KC na widok publiczny zwłoki Bieruta, przyciągały niezliczone, często pochlipujące i czyniące znak krzyża rzesze, ze wszystkich miejsc kraju, z dziećmi często na rękach ... „Nasz prezydent” zmarł ... A ponieważ zmarł w Moskwie, więc był dobry Polak ... Byli i tacy, którzy widzieli bandaż wysta-

jący spod kołnierzyka. Poderżnęli go pewnie ... A szkoda, dobry był, odbudował Warszawę ze Starówką, pięknym polskim językiem przemawiał, uśmiechał się mile, zawsze otoczony dziećmi i taki skromny ...

A do KC i innych instytucji centralnych, sam to częściowo czytałem, płynęły tysiące i tysiące listów, samorzutnych, na kartkach z zeszytów szkolnych najczęściej, pełnych nieutulonego żalu z powodu zgonu „Pana Prezydenta”, „Pana Premiera” i „Pana Sekretarza”, gdyż Bierut okresowo był wszystkim potrosze i ludziom się pokręciło...

Albo weźmy Władysława Gomułkę. Pamiętam, jak przed sierpniem-wrześniem 1948 r. „wieszano psy” na nim. Bieruta, prezydenta, Roleżymierskiego, marszałka, czy Osóbkę-Morawskiego, premiera i krajana z koneckiego, ogólnie szanowano, ale Gomułka był draniem! On szefował PPR, a więc kanalia!

Bardzo szybko jednak nienawiść zamieniła się na miłość, gdy przyszedł Październik.

Takich tłumów, jak tych oklaskujących właśnie Gomułkę, na Placu Defilad, nie widziałem w Polsce ani przedtem ani już nigdy potem, może z wyjątkiem papieskiej pielgrzymki w czerwcu 1979 r., ale to było poza stolicą.

Edwarda Gierka też bardzo poważano, sam to widziałem. Jego PZPR, „partia całego narodu”, a nie tylko robotnicza, liczyła na progę „lata 80” ponad 3,3 mln. Polaków, dorosłych, w trzech czwartych mężczyzn.

Tyłu było w Polsce komunistów? Ależ gdzie tam! Prawie milion poszybowało natychmiast do „Solidarności”, która mogła być wszystkim, ale za komunistyczną organizację nie uważała się przecież!

Socjalizmu PZPR nijak nie mogła zbudować, a w końcu doszło do tego, że tak na dobrą sprawę, po wprowadzeniu „stanu wojennego”, musiała się poddać wojskowym rządowi, rzecz dotąd niesłychana w „realnym komunizmie”! W Chinach co prawda, w czasie „rewolucji kulturalnej” było podobnie, ale nie oficjalnie przecież.

Jak zresztą można było w PRL zbudować socjalizm, skoro nie tylko nikt nie wiedział jak to zrobić, ale nie chciał wiedzieć! Na „szkoleniach ideologicznych”, a sam w nich „aktywnie” uczestniczyłem, z marksizmu-leninizmu robiono sobie jawne kpiny! Za to samo głoszone na ulicy można było mieć poważne kłopoty, ale na „szkoleniu” - nigdy!

Czym więc był polski „realny komunizm”?

Nie wiem, naprawdę nie wiem. Oczywiście, tkwili w nim różni ludzie i w różnych okresach różnie on wyglądał. Przy tym nie był to tylko wynik „bagnetowej rewolucji”. Prawda, bez niej nie byłoby tej „własno-

nożnej”, która miała pewne elementy „klasowej wojny domowej”, pochłaniając po obu stronach ok. 40 tysięcy ofiar, ale w PRL coś takiego, nawet krwawego, było o tyle tragiczne, co jakby surrealistyczne ... Natomiast komiczny był „stan wojenny”, gdyby nie mordy, jak w Kopalni „Wujek”, czy trzymanie ludzi za drutami, z Gierkiem włącznie, całymi miesiącami. Komiczne było solidarnościowe „Podziemie”, komiczna jest teraz polska demokracja i gospodarka rynkowa.

Ale jednocześnie były, mimo wszystko, określone realia. O masie członków w PZPR już mówiłem. Miliony innych Polaków należały do partii, ZSL i SD, organizacji i stowarzyszeń, zafiliowanych i kontrolowanych przez PZPR.

A tak na dobrą sprawę, to każdy, lub prawie każdy, był częścią PRL, w której „przewodnią siłą” była PZPR, w końcu partia komunistyczna, a nie jakaś inna! Żołnierz, kolejarz, urzędnik, lekarz i nauczyciel, nieważne partyjni czy nie, byli nie tylko częścią, ale i spoiwem tego dość „pokrętnego” państwa. A gdy się w końcu zawaliło, to następne jest znów ludzko podobne swoją pokrętnością.

PRL, mówię to bez żenady, uważałem mimo wszystko za prawdziwą Polskę, choć zdawałem sobie sprawę, o wiele lepiej od większości moich współrodaków, że był to kraj w „inwalidzkim wózku”, nie mający pełnej swobody ruchów, ale jednocześnie rzeczywisty, prawdziwy. Może nawet bardziej typowy dla Polaków, ich mentalności i państwowotwórczych zdolności niż to się wielu wydawało. Problemem było tylko pytanie na ile można było coś zmieniać dowolnie i własnymi siłami.

Ludzie, zanim przyszły wydarzenia lat 1980-ch, poważnie już „znormalnieli” w Polsce, nie drżąc w każdej chwili przed jakimś nowym najazdem, o swój byt, który, jeśli nawet nie dostatni, był przecież całkiem znośny. Nie doceniano bezpłatnej opieki lekarskiej, choć nie zawsze mogła stać na najwyższym poziomie, bezpłatnej nauki, tanich wczasów i kolonii letnich dla dzieci, wspaniałych teatrów z tanimi biletami, czy wreszcie spokojnych ulic, po których można było chodzić spokojnie o każdej porze dnia i nocy.

Do „ludowego państwa” więc, przyzwyczajono się, a nawet bito mu na różne sposoby pokłony, choćby przyjmując premie i inne nagrody z okazji „święta lipcowego”, dla upamiętnienia powstania PKWN jakoby w Chełmie, podczas gdy powstał w Moskwie ... Jeśli wiedziano o tym, a na ogół wiedziano, to po co wyciągano rękę po te datki? Dlaczego nie odrzucano ich z obrzydzeniem?

Ktoby je zresztą odrzucał! Najwięcej pretensji mieli bezpartyjni,

że ich pominięto w datkach, albo że były za skromne...

Ludzie w swojej masie, nie oszukujmy się, chcieli przede wszystkim żyć i gotowi byli iść na wiele ustępstw, byle tylko im pozwolono żyć. Fakt, że tzw. postkomuniści cieszą się dziś w Polsce dużym uznaniem, wygrywając nawet wolne wybory, w większym stylu niż wygrałoby je kiedykolwiek jawni komuniści w PRL, o czymś chyba świadczy. Podobnie jak świadczy brak powszechnego potępienia dla „stanu wojennego”, czy zdecydowania w rozliczeniu się raz i na zawsze z przeszłością. Nie, nie na zbiorowej zasadzie, gdyż coś takiego jest bezsensowne, ale indywidualnej. Nie wszystko co było złe działo się tylko z czyjegoś rozkazu i polecenia, sowieckiego zwłaszcza. Dużo też było w tym własnej, rodzimej i lokalnej inicjatywy. Ludziom, a takich były tysiące, nikt przecież nie kazał pisać donosów do placówek sowieckich w Polsce! Nie zawsze też pod przymusem werbowano „tewiaków”, tajnych współpracowników, do donoszenia służbom specjalnym na swoich współziomków, nierazdo krewnych i przyjaciół!

W sumie więc, nie wiem jaką naprawdę wystawić cenzurkę „realnemu komunizmowi” w Polsce, gdyż cenzurki trzeba by wystawić także wszystkim tym, którzy spowodowali, że **musiał** on przyjść. Objawy choroby trzeba leczyć, ale przyczyn jej dociekać.

Osobiście myślę, choćby w oparciu o swoje własne doświadczenie, że „realny komunizm” w Polsce, podobnie jak w innych krajach, był wyrokiem Historii, aczkolwiek Polacy, bardziej od wielu innych narodów nim „zaszczyconych”, mieli okazję zmienić ten wyrok.

Nie zmienili.

Czy taka zmiana byłaby dla Polski korzystniejsza od tego co się stało bez poważnej próby odwrócenia losu - oto pytanie, na które już chyba nie odpowiemy sobie nigdy.